



Fabryka frajerów (fragmenty)
Krzysztof Beśka

Published: 2009

Categorie(s):

Tag(s): wojsko powieść proza "nowy świat" 33strony kirst hasek szwejk

Chapter 1

Prolog

– Śpi, ścierwo.

Z ust grubego żandarma doleciał wyraźny smród trawionego alkoholu.

– Zapnij mu pasy, bo jeszcze sobie coś zrobi i będziesz odpowiadał jak za człowieka – zawołał po angielsku drugi z mundurowych, Murzyn, stojący w przedsionku i palący papierosa.

Otyły żandarm pochylił się jeszcze niżej nad śpiącym. Stękając z wysiłku, wyłuskał pas bezpieczeństwa zagubiony w zagłębieniu fotela. Klamra zaskoczyła z łatwością.

– Bob, znasz ten kawał? – zapytał po chwili Murzyn stojący w drzwiach.

– Znam wiele – odparł gruby.

– Ale tego pewnie nie znasz. Podchodzi stewardesa w samolocie do Araba i pyta, czy mu podać whisky...

– To oni piją whisky?

– Nieważne! – zachnął się tamten. – Whisky czy coś innego. W każdym razie chodziło o jakiś mocny alkohol.

– No i co?

– Ten Arab mówi, że nie.

– I co dalej?

– Że nie, bo zaraz... siada za sterami!

Zarechotali głośno.

– Miłego lotu – mruknął grubas, po czym wyszedł z kabiny, zataczając się.

Zachrobotał zamek w drzwiach, po chwili, niczym maszyna jakiejś maszyny śmierci, zazgrzytała metalowa zasuwa.

Siedzący mężczyzna powoli podniósł głowę. Otworzył oczy. Nie spał wcale. Ani przed chwilą, ani w ciągu całego lotu, który mógł trwać może już nawet dobie.

– Dokąd nas wiozą? Dokąd nas wiozą... – mamrotał w swoim narzeczu siedzący po lewej stronie Ahmed. – Nie. Nie!

– Uciszcie go, do cholery! – ryknął z tyłu olbrzym, którego

przyprowadzili podczas przedostatniego postoj.

– Nie. Nie...

Ahmed mamrotał coraz ciszej, coraz bardziej żałośnie, aż w końcu w ciemności rozległo się tylko chrapanie.

– Jak nie sraczka, to... – westchnął olbrzym; ktoś inny nawet zawtórował mu irytującym śmiechem, ale szybko zamilkł.

Zagrały silniki. Z lewej strony, po kilku sekundach również z drugiej. Pomruk stopniowo zaczął przechodzić w ryk. Cała maszyna drżała miarowo, tylko wibracje co raz to zmieniały ton.

Siedzący mężczyzna powoli przesunął nadgarstki wzdłuż obręczy kajdanek. Nie był zbyt ciasno skuty, więc mógł pozwolić sobie na ten luksus. Fory białego? Długi łańcuch łączący ręce z nogami, mimo narastającego huku gotującego się do startu samolotu, zadzwonił cicho, wręcz tkliwie. Człowiek ten zmienił też położenie głowy na oparciu fotela, opierając ją na ramieniu. Sztywny materiał więziennego uniformu podrażnił obolałą skórę twarzy, zaszeleścił nieogolony zarost. Mężczyzna jednak nie zmienił pozycji, bo dzięki niej przez zapomnianą szczelinę w oknie mógł zobaczyć światła lotniska. Te wkrótce zaczęły się przesuwać, niknąć coraz szybciej w wąskim pionowym kadrze, ustępować miejsca innym, zielonym, czerwonym i białym.

Maszyna ruszyła. Wycie przycichło nieco. Zaczęło się kołowanie na pas startowy.

– Dokąd nas wiozą? – zawołał, choć już przez sen, Ahmed.

Oparcia foteli coraz mocniej wciskały się w plecy. W obolałe lędźwie, połamane żebra, odbite nerki, coraz wolniej gojące się podłużne rany. Światła lotniska w szparce okienka stopiły się w jedną, to opadającą, to znów wznoszącą się wiązkę. Maszyna nabierała szybkości na pasie startowym. Szarpnęło. Oderwali się od ziemi. Sznur pełgających światełek lotniska, oglądany w okienku samolotu, zerwał się gwałtownie niczym naszyjnik z błyszczących paciorków. Silniki grały równo, jakby były orkiestrą pod batutą dyrygenta.

Stary boeing 737, a może gulfstream (uwięzieni nie wiedzieli tego; wprowadzali ich przecież w czarnych workach na głowach) wzbijał się pod ostrym kątem ku czarnej czeluści nieba. Nad Irakiem, Afganistanem, Rumunią, Kuwejtem, Marokiem, a może już Kubą...

– Jak ci na imię? – zapytał ten siedzący po prawej.

– Jamal.

– Ja jestem Muhammad – przedstawił się tamten.

Musieli wyrównać lot, gdyż przeciążenia zakończyły się. W normalnych samolotach uroczą stewardesa pozwala w tym momencie odpiąć pasy

i zapalić papierosa albo cygaro, a jej koleżanki zaczynają roznosić słodczyce i częstować nimi przestraszonych jeszcze po starcie pasażerów...

– Cukierka? – dziewczyna nachyla się, podsuwając pod nos tackę, a jej uśmiech jest słodszy od wszystkich cukierków świata.

– Dziękuję – odpowiada się wtedy stewardesie, próbując się odwzajemnić, choć zwykle wychodzi z tego raczej przykry grymas.

– Ależ proszę.

Bierze się wreszcie tego cukierka, odwija z papierka, dziękuje jeszcze raz. Jednocześnie usiłuje się, możliwie dyskretnie, wciągnąć w nozdrza zapach perfum dziewczyny, niezbyt mocnych, ale wyraźnych, ciągnący się za nią jak tren ślubnej sukni. Dyskretnie wychyla się z fotela, zerka na jej smukłą szyję, na długie i proste nogi, na zgrabniutki tyłeczek, opięty ściśle przylegającym materiałem krótkiej spódniczki. Ale już po chwili z tyłu słychać cichy stukot obcasów i nadchodzi jej koleżanka, jeszcze ładniejsza, która odzywa się lekko dźwięczącym głosem, głosem anioła:

– Czy mogę zaproponować panu drinka?

Pozwala się jej powtórzyć jeszcze raz, udaje zapracowanie, a może nawet obojętność. Wreszcie, po chwili, ale niezbyt długiej, podnosi się wzrok znad czytanej gazety, a jeszcze lepiej książki. A ona, ta dziewczyna, uśmiecha się i pyta jeszcze raz:

– Drinka? Drink? Drink... ?

Łańcuch łączący kajdany zadzwonił jeszcze raz. Jamal wzdrygnął się. Przygryzł spierzchnięte wargi, aż poczuł na nich zbyt dobrze znajomy słonawy smak. Zaciśnął dłonie w pięści, aż zabolęły unieruchomione metalem nadgarstki. Napięcie jednak minęło równie szybko, jak nadeszło.

Czekamy na trzecią stewardesę. Będzie jeszcze piękniejsza niż dwie poprzednie. Podejdzie, a może raczej nadpłynie i zaproponuje nam...

– Czy zechciałby pan obejrzeć film?

– Film?

– Tak, film.

Zimny dreszcz przebiegł mu przez plecy. Coś przygniotło piersi, utrudniając oddech. Nagły krzyk Ahmeda przebił się przez jednostajny szum motorów. Niewielkiej postury mężczyzna, chłopiec prawie, zaczął znów kręcić się niespokojnie na fotelu i gadać przez sen. Może mu się śnił jakiś koszmar?

Jamal oparł głowę na drugim ramieniu. Ćmiło go. Czas nie istniał od kilku dni, nie wiadomo ilu, bo nie było przecież godzin. Nie było czasu, jakby cały świat wstrzymał oddech. Tylko że ten świat gównu sobie

z nich robił. Z nich tutaj i z nich w ogóle też. Całe ciało drętwiało. Nogi pewnie odmówiłyby posłuszeństwa. Tyle co do ustępu. Dwa kroki, no, może trochę więcej, zważywszy na te gustowne bransoletki przy nogach. Ale i to też nie zawsze, kiedy się chciało. Strażnicy mieli niezły ubaw.

Przez miarowy warkot silników od czasu do czasu przebijały buczenia, piski urządzeń elektronicznych oraz głosy ludzkie z pozostałych kabin samolotu, a może kabiny pilotów. Pokładowe radio, dzięki któremu podtrzymywano kontakt z ziemią? Tylko jaką? Jawa mieszała się z sennymi majakami. Urocze stewardesy już się jednak nie pojawiały. Za to nie wiadomo czemu i skąd, ale mężczyzna imieniem Jamal nagle zaczął marzyć o czym innym. O sękaczu. Takim z czterdziestu, a najlepiej z sześćdziesięciu jaj! Nie dawało mu to spokoju. Ogromny, ciemnożółty, tu i ówdzie jasnobrazowy. Prawdziwy, nie żadna podróbka. Po pierwszym kęsie sprawiający wrażenie zbyt suchego, ale już po chwili taki, jaki być powinien. Słodki smak dzieciństwa...

Maszyną nagle szarpnęło. W szczelinie okna błysnął rąbek Księżyca. Niebo było czyste. Ale wysoko w górze niebo chyba zawsze jest czyste. Niżej są chmury, szarobiałe, pierzaste kłębowisko, oświetlone księżycowym blaskiem. Przypomina brudną pianę z pralki automatycznej. Za czas jakiś podłużny kształt samolotu wsiąknie w nie, rozpruje i przebije się z łatwością, by po kilku chwilach wylądować znowu na jakimś nieznanym, wrogim lądzie.

Zazgrzytała zasuwą, po chwili skrzypnęły drzwi. Snop światła padł na podłogę kabiny. Na jasnym tle zamajaczyła postać jednego z żandarmów. Ledwo się trzymał na nogach. W ustach miał cygaro, z którego dym przypominał komiksową chmurkę, gdzie wpisuje się tekst. Żołnierz stał w drzwiach, trzymając się kurczowo futryny.

– Ja bym się z wami nie patyczkował – wybełkotał. – Od razu pod mur! Pod mur, skurwysyny!

– Daj spokój, Bob – zawołał z głębi samolotu drugi z żandarmów.

– Ja bym z wami inaczej pogadał – wycharczał, dysząc niczym zwierzę.

Naraz czyjeś ręce chwytające za kołnierz, a może kolejne szarpnięcie poddającej się prawom przestworzy maszyny pociągnęły go do tyłu. Huknęły drzwi latającej celi. Jamal wyczekiwał zgrzytu klucza w zamku. I przerażającego odgłosu zasuw. Jednak zamiast tego znów odczuł wyraźne szarpnięcie. Samolot dość mocno przechylił się na prawo. Coś, może puszka po mięsnej konserwie, którą dano na obiad lub kolację, metalicznie brzęknęło o podłogę i potoczyło się po niej ku ścianie.

Jamal zapadał w letarg, to znów coś go z niego wytrącało. Czoło pokryły mu kropelki zimnego potu, ciałem coraz to wstrząsały dreszcze. Chciał

krzyczeć, ale nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku, jakby dodatkową, piątą obręczą ściśnięto mu także krtań.

Teraz z kolei maszyna dość znacznie przechyliła się ku dołowi. Pusta puszka potoczyła się w stronę ścianki działowej, na której umieszczone były drzwi, i jęknęła żałośnie. Pasy bezpieczeństwa, którymi Jamal był cały czas unieruchomiony, boleśnie naparły na brzuch, uciskając wnętrzności.

Znał to uczucie. Musieli podchodzić do lądowania. Ahmed jęczał coś znowu, choć przy niemal braku oświetlenia nie można było odróżnić, czy śpi, czy też, podobnie jak Jamal, czuwa. Zakolebało nimi na boki, silniki wyły w wysokich tonach. Trochę jednak inaczej niż podczas poprzednich lądowań, to pewne. Coś było nie tak. Jamal nie zdażył się jednak zastanowić, czy to dobrze, czy źle. Zza drzwi, które być może zapomniano zamknąć, choć z drugiej strony nie mogło mieć to teraz żadnego znaczenia, dobiegły jakieś krzyki, strzepy komend, tupanie ciężkich wojskowych buciorów na akustycznej podłodze.

Ocknęli się też siedzący w zaimprovizowanej celi pozostali więźniowie.

– Spadamy – rzekł ze spokojem człowiek, który przedstawił się jako Muhammad; trudno było jednak ocenić, czy to, co powiedział, było pytaniem czy stwierdzeniem.

Ktoś próbował szarpać się w fotelu, podzwaniając łańcuchami, ktoś inny tylko modlił się cicho, łkając przy tym. Boeing najwyraźniej pikował w dół.

– Rozkujcie nas, słyszycie?! Rozkujcie! – ryczał olbrzym siedzący z tyłu.

Muhammad nagle zaczął się śmiać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej, coraz bardziej przeraźliwie. W nikłym świetelku błyszczały krople, które zalewały mu oczy. Pot albo łzy.

– Zestrzelili nas! Trafili! Nasi nas zestrzelili – krzyczał, jakby był w ekstazie. – Allah akbar!

Ale w tej chwili pilotowi widać udało się zapanować nad maszyną, bo wyrównali lot. Cały czas chyba jednak nieuchronnie zbliżali się do ziemi. Nagle szarpnęło. Pojedyncze uderzenie. Podskoczyli na fotelach. Rozległ się przeraźliwy, świdrujący uszy wizg kół szorujących o twardą nawierzchnię. Lotnisko? Autostradę? Wodę?!

Jamal spojrział w bok. W szparce okna nie było jednak widać żadnych świateł. Nagle przechylili się na lewo i w ciemności tej, chyba spod skrzydła, wytrysnął gruby snop iskier. Po chwili znów uderzenie, po nim kilka następnych, już nieco łżejszych. Kilkutonowa maszyna, żelazna masa, odbijała się od ziemi jak gumowa piłeczka. Zewsząd dochodził wzrastający trzask.

Jamal drżał cały. Ze strachu, a może tylko wskutek przeciążeń, ruchów samolotu usiłującego pokonać dwa żywioły i prawa fizyki, a w nim kawałek mięsa poddany tym samym prawom.

– Allah akbar! Allah akbar! – darł się wciąż niczym opętany Muhammad. Na koniec nagły, potworny huk. Ból w uszach. Czyjś krzyk. Na sekundę zapaliły się wszystkie światła w ich kabinie. Ogromna siła wyrwała z podłogi fotel, na którym siedział Muhammad, i z impetem cisnęła nim o ścianę. W tej samej chwili pękły żarówki. Kawałki szkła strzeliły na wszystkie strony. Potem nastąpiła cisza. Jamal miał wrażenie, że pas bezpieczeństwa przecina go dokładnie w połowie.

– Jezu... – jęknął z bolesną rezygnacją, nie myśląc już o tym, że ktoś źle go może zrozumieć.

Potem stracił przytomność.

*

W sobotę rano wybrałem się na Koło, gdzie w dwa weekendowe dni rozkładają swoje kramy handlarze starociami, antykami, ale i najzwyczajszą w świecie tandetą i starzyzną, którą w normalnych miastach zapełnia się śmietniki, a nie stoiska handlowe.

Właściwie pojechałem tam bez określonego celu, a taki przyświeca zwykle większości ludzi, którzy przemierzają wąskie alejki między drewnianymi budami czy płachtami folii, leżącymi wraz z towarem wprost na ziemi. A to do trzech antycznych świeczników dobrać czwarty, niech się świecą – przede wszystkim oczy znajomych, z zazdrości. Albo skompletować wreszcie serwis miśnieńskiej porcelany, do którego brakuje nam tylko jednego spodka albo wieczka cukiernicy, a te ktoś ponoć ostatnio tutaj widział. Albo antyczne krzesło dokupić do kompletu, który zdobi nasz pokój dzienny. Rzadziej ktoś poszukuje tutaj starych, a raczej niezbyt nowych książek, które można nabyć po uprzednim wygrzebaniu woluminu w jednym z kartonowych pudeł.

– Ile za tę miniaturę? – pyta nastroszona panusia w ciemnych okularach, wskazując nieprawdopodobnie długim i czerwonym paznokciem w stronę galeryjki małych i dużych płócien, przyczepionych wprost do płotu.

– Trzysta – odpowiada właściciel stoiska, nie przestając wyłuskiwać sobie brudu zza paznokci przy pomocy szwajcarskiego scyzoryka bądź tylko jego chińskiej podróbki.

– Choć, Władziu. To tandeta – towarzyska nastroszonej, ruda jak wiewiórka i też w przeciwsłonecznych okularach na nosie, już ciągnie za łokieć swoją koleżankę; po chwili obie interesują się już zupełnie inną gałęzią sztuki, mianowicie damską bielizną, i to bynajmniej nie antyczną. – Taka to nawet „dupa” mówi przez „ł” – przypomina starą prawdę koczujący tuż obok tymczasowej galerii sprzedawca tysiąca i jednej bzdury z miedzi i mosiądzu. – Grzebie, przewraca, wybrzydza, a i tak nic nie kupi.

– Co poradzisz – wzdycha brukowy marszand, wzruszając nagimi, opalonymi ramionami. – Cały ten dzień jakiś kiepski, jakiś taki...

– Uważa, jak chodzi! Ślepy jest?! – drze się kilka metrów dalej korpulentna kobiecina z wąsami, książkowy model handlarki jajkami; ta jednak sprzedaje wprost z ziemi wyliniałe kołnierze z lisa. I właśnie ktoś jednemu z tych biednych zwierząt, z pewnością niechcący, nadepnał obcasem na ogon. Lisa to już nie boli, handlarę – owszem, bardzo.

Rzeczywiście, w takim miejscu trzeba nie lada sprytu, by nie wejść komuś w szkodę. I na wąskich drózkach minąć się bezpiecznie, jednocześnie przez cały czas obserwując oferowane towary. I targować się umieć, bo to tutaj norma, wręcz tradycja, swoisty element bon tonu, a nie od razu ustępować pola, obrażać się śmiertelnie albo od tandety wyzywać.

Ludzie przychodzący na Koło to w większości starzy wyjadacze. Ale ci, którzy przybywają tutaj, ażeby handlować, a czasami nawet bywa, że nic nie uhandlować, to jeszcze większe indywidua.

– Pierwszorzędna robota. Cymuś, miód, malina! – rozplywa się w komplementach fachura, podnosząc wysoko do oczu jakieś cacko: może zegarek, może monetę czy jakiś inny bibelot.

Fachura ma tłuste, rzadkie włosy, żółte palce u rąk i jest chudziuteńki jak przecinek. Ma na sobie skórzaną kamizelkę, mokasyny o zdartych obcasach, okulary w pozlepianej plastrem oprawce, w ogóle cały jego ubiór sam też może robić za zabytek. Ale to fachura przecież, spec nad spece. Wygląd nieważny. Pasja się liczy!

A już największe oryginały na Kole to sprzedawcy militariów. Zajmują jedną z alejek, choć kilku rozłożyło swoje graty także w innych rejonach targowiska; być może nie zdążyli na czas (bo tutaj co niektórzy, głównie ci od starych mebli, miejsce zajmują już w piątek rano), a może chcieli mieć blisko do budki z ciepłym jedzeniem. W każdym razie w zaułek maniaków barwy i broni zawsze warto się zapuścić.

– Ma być dzisiaj u mnie gostek z oryginalnym mundurem niemieckiego spadochroniarza, jarzysz? – chwali się jeden, sam wyglądający jak

skoczek, tylko czerwona chustka zawiązana na głowie zdradza od razu jego położenie, wszak o to przecież chodzi.

– Bundeswehra czy Wehrmacht? – interesuje się jego kompan w niemal nowej polskiej czapce zająćwce z gumowym orzełkiem, jeszcze bez korony; nie przerywa ani na chwilę żmudnej czynności polerowania długiej lufy jakiegoś karabinu.

– Z wojny ostatniej, jarzysz? Być może jakiegoś chłopaka od Skorzenego, jarzysz?

– To ten Austriak, co zrobił desant na Krete?

– Ten sam.

Obaj z uznaniem cmokają, bo to i pewnie w istocie nie lada gratka dla zapalonego kolekcjonera wszelkiego żelastwa i szmat z ostatniej wojny.

Ogarniam wzrokiem prowizoryczne lady. Czego tu nie ma! Stare mundury, pałatki, czapki, pasy z koalicijkami, buty, kabury i ładownice. Elementy tak broni palnej, dla laika zwykle sprężynki czy kawałki metalu, jak i białej. Nawet całe, lśniące w słońcu szable – idealny prezent dla skorumpowanego polityka. Od razu przypomina mi się niedawno zasłyszany dowcip-zagadka: Czemu w dzisiejszej polskiej armii odchodzącemu na emeryturę oficerowi wręcza się taką właśnie szablę? Żeby było na starość czym w śmietnikach grzebać.

Po chwili pochylam się nad częścią stoiska, gdzie z kolei wyłożono drobnicę. Nie jest to łatwe. Tu orzełki na pelcie i bez pelty, z koroną i bez korony, tudzież gapy, niezliczone ilości plastikowych i metalowych guzików, korpusówki, odznaki wzorowego żołnierza, zwane popularnie, ale i pogardliwie „blachami”, znaczki szkół oficerskich, brązowe i złote odznaki mistrzostwa sportowego i tak dalej. Aż się w oczach mieni. Ten stół może też trochę przypominać smutne stanowisko archeologiczne, zorganizowane w pobliżu głębokich dołów w pewnym lasku na Białorusi. Tylko że tam mało co z tej całej drobnicy błyszczało jak tutaj...

Nieco z boku stoi duże blaszane pudełko po herbacie, wypełnione epoletami z wyszywanymi bajorkiem, ale także gumowymi gwiazdkami i belkami, starymi naszywkami rodzajów wojsk w kształcie koła czy plakietkami okolicznościowymi, których to okoliczności nikt już chyba nie pamięta.

Uwagę, chyba nie tylko moją, zwraca za to czerwona, wygięta plakietka z napisem POLAND, dokładnie taka, jaką nosili żołnierze Sił Zbrojnych na Zachodzie podczas II wojny światowej. Wątpię jednak, czy naszywka jest autentyczna. To tak jak z tymi charakterystycznymi, spiczastymi czapkami bolszewickiej armii Budionnego, tymi z nausznikami i wielką

czerwoną gwiazdą. Skąd ich nagle tyle? Nie ma innego wytłumaczenia jak to, że ktoś chałupniczo szyje je teraz w domu, jakby podejrzewał, ba!, był przekonany, że wkrótce mogą się przydać.

– Szuka pan czegoś konkretnego? – pyta mnie sprzedawca.

– Nie, tak tylko patrzę – wyjaśniam odrobinę zawstydzony.

– Wojna, Ludowe Wojsko, Bośnia, Irak, Afganistan? – wylicza w kolejności wszystkie grzechy śmiertelne, potrząsając pudełkiem, ale ja tylko kręcę głową.

I już prostuję się, by ruszyć dalej, gdy nagle mój wzrok przykuwa znajomy kształt. A w tym kształcie kolory też coś mi mówią. I coś szczypie mnie w oczy, może dym z papierosa, którego ogryzek kurzy ze smakiem handlarz żołnierskimi menażkami, „manierkami z gorzałczyzną” i tym podobnym złomem; serce uderza mi żywiej, wyciągnięta przed siebie ręka, zrazu znieruchomiła, jak ręka nakrytego złodzieja w supermarkecie, zaczyna lekko drżeć. Ale ja nie chcę niczego ukraść. Ani nawet nie znalazłem czegoś, co mi kiedyś ukradziono. Chociaż...

– Pokazać? – oferuje się handlarz, po czym szybko sięga po całe pudełko z naszywkami.

– Nie. Nie trzeba.

– Nówka, prawdziwa okazja!

Ja jednak oddalam się bez słowa, kręcąc energicznie głową. Facet jeszcze coś mówi, ale nie słyszę jego słów, bo tuż obok odzywa się dźwięk akordeonu. Starszy mężczyzna gra najwyraźniej sobie a muzom, gdyż nie stoi przed nim blaszana puszka ani otwarty futerał z mieniącymi się na aksamitnym tle drobniakami. Może chce tylko pokazać zalety oferowanego do sprzedaży instrumentu, a może rzeczywiście tylko umiła czas sobie, sprzedającym i kupującym. Bo gra, w przeciwieństwie do cygańskich grajków tramwajowych, których w naszych miastach coraz więcej, nawet ładnie.

Melodia, której nie potrafię nadać tytułu, uspokaja mnie. Zerkam jeszcze ponad ramionami przechodniów na stoisko z militariami. Ktoś pochyla się nad pudełkiem z naszywkami tak samo jak ja przed paroma sekundami. A jednak nie. Wziął do ręki jakiś bagnet.

– Opłata? Jaka opłata?! – słyszę z całkiem bliska, jak ktoś gardłuje; to sprzedawca starych mebli, głównie krzesel, ustawionych zapobiegliwie pod brezentową plandeką.

– Zwyczajna – odpowiada ze spokojem zbieracz opłat targowiskowych, wypisując z wprawą niewielki blankiet.

– Ale aż tyle? – jęczy boleśnie drugi z gości od krzesel; obaj są dość młodzi i pewnie pierwszy raz próbują szczęścia na Kole.

– Jak wszyscy, według zajmowanej powierzchni – egzekutor robi okrągły gest ręką, bo chłopaczek w istocie zajęli trochę placu, i wzrusza ramionami, pewnie na znak, że sobie do kieszeni tych pieniędzy nie weźmie. – A jak pan twierdzisz, że źle policzyłem, to ci oddaję całą tę torbę – klepie się po wypchanym chlebaku, jakby bił się w piersi. Na tym dyskusja ustaje. Ruszam w dalszą drogę, rozglądając się na boki, już jednak z coraz mniejszą uwagą. Zmysły tępieją, kolory bledną, kształty zacierają się. Słońce stoi już niemal w zenicie i przygrzewa mocno. Robi mi się coraz bardziej gorąco. Jestem teraz najlepszym kandydatem na wyciągnięcie pieniędzy i wciśnięcie baracha. O, choćby takiego obrazka, który nie jest niczym innym jak trochę większą pocztówką, umieszczoną za szkłem i okoloną odpowiednio sfatygowanymi ramkami. Jakieś przedwojenne miasto, najprawdopodobniej niemieckie. Czerwone, gotyckie wieże kościołów, spadziste dachy domów. Na pierwszym planie most na jakiejś rzeczce, a na nim stary, śmieszny tramwaj, jeden czerwony wóz z żółtym pasem pod oknami. Tuż obok, co jest nawet dobrym pomysłem, stoi inny obrazek. To także fotografia, przedstawiająca młodego mężczyznę, chłopaka właściwie. Chłopak ów ma na sobie mundurową bluzę z czarnymi epoletami. Szeregowiec. Mundur jest niemiecki, tak dobrze znany, jeśli nie z życia, to z filmów. I znienawidzony. Myślę sobie, że właściwie taki obrazek powinien być prezentowany na stoisku z militariami, gdzie przed chwilą byłem. Spoglądam w tamtym kierunku, ale nic nie widzę, bo akurat tłum stęzał mocno i skutecznie zasłania widoczność. Przenoszę zatem wzrok z powrotem na czarno-białego żołnierza. I już wiem.

Wiem, że go dobrze znam.

Robi mi się gorąco. Przygryzam wargi do bólu. Uwolnione po chwili, bezwiednie i bezgłośnie składają się w słowa wypowiedziane przez brukowego marszanda:

– Cały ten dzień jakiś kiepski, jakiś taki...

*

Śniło mu się, że ma wolne ręce i nogi. I że może biegać. Że biegnie po deszczu, rozbijając wodę w kałużach, nie bacząc na mokre buty, spodnie, zdziwienie mijających go ludzi. Lubił tak biegać. W młodości. Kiedyś była. Chwilę po tym, jak czule pożegnał się z ukochaną dziewczyną. Biegł, by zdążyć na czas.

Bo wtedy był czas: na miłość, na radość, na życie. Bo wtedy był czas i wydawało się, że nigdy, przenigdy go nie zabraknie. Że będzie jutro i ta

dziewczyna. Jutro może świecić słońce, ale może i padać deszcz. Byleby oni byli ze sobą. On i ona. Ona. Jak ona miała na imię? Jak miała na imię? Nie mógł sobie przypomnieć, jak miała na imię.

To śmieszne, przecież to tak proste, że aż śmieszne. Jej imię...

Obudziło go wilgotne zimno na twarzy. Otworzył oczy, lecz niczego nie zobaczył. Czuł jednak, że nad głową ma... Tak, nie mogło być inaczej: to było niebo. Nad głową miał niebo. Najprawdziwsze niebo! Nie czuł bólu, tylko w głowie pulsujący szum. Siedział oparty o coś twardego. Spróbował się podnieść. Kajdanki na nogach i rękach, połączone łańcuchem, wciąż jednak kępowały mu ruchy. Za to wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności.

W pewnej chwili Jamal dostrzegł w oddali jakieś poruszające się cienie z latarkami. Biegły, pokrzykując coś niezrozumiale, w kierunku wielkiego kształtu, który coraz wyraźniej odznaczał się na tle blednącego i różowiejącego już nieba. Poznał od razu. Cielsko boeinga leżało bezwładne, jedno skrzydło sterczało żałośnie, uniesione w górę niczym płetwa umierającego na brzegu morza wieloryba. Z daleka dobiegł ryk syren.

Deszcz zaczął padać coraz mocniej. Pachniało wilgotną ziemią i zgniłymi dawno liśćmi. Mężczyzna wstał. Zakręciło mu się w głowie. Z tyłu namacał chropowatą korę drzewa. Jednocześnie zauważył, że jedna z bransoletek znalazła się na wysokości kostek palców. Spróbował przesunąć metal po mokrym ciele, jednocześnie zwięzając dłoń do granicy bólu. Ku jego zdumieniu zimna obręcz gładko prześliznęła się po namoczonej skórze. Po chwili to samo Jamal uczynił z drugą ręką, szybko zzuł buty i oswobodził nogi. Ze złością odrzucił łańcuchy w bok.

Tymczasem syreny były już wyraźne. Po kilku chwilach na otwartą przestrzeń, która mogła być zarówno lotniskiem, jak i rozległą łąką albo polem uprawnym, wtoczyło się kilka samochodów. Obciążone hektolitrami wody wozy bojowe straży pożarnej, dużo mniejsze karetek pogotowia i policji zbliżały się do leżącego kadłuba. Obracające się na dachach niebieskie sygnalizatory oświetlały cielsko samolotu i ścianę lasu.

Wtem potworny huk rozdarł powietrze. Gorący podmuch zakołysał koronami drzew, zmierzwił włosy człowieka, targnął więziennym uniformem. Ogromna kula ognia oświetliła okolicę. Musiały eksplodować baki z paliwem – skonstatował przytomnie Jamal. Boeing palił się. Wokół uwijały się cienie strażaków, kilka strumieni wody już skierowano na źródło ognia, ale nie mogły wiele zdziałać.

Jamal odwrócił się. Przed sobą miał litą ścianę lasu. Nagle wydało mu

się, że słyszy ujadanie psów. Niewiele myśląc, ruszył przed siebie. Płomień palącego się samolotu-więzienia oświetlał pnie drzew jak harcerskie ognisko za dawnych lat. Podłużne cienie przesuwają się wraz z idącym. Niektóre wyprzedzają go, inne zostawają w tyle. Światło pożaru, w miarę jak mężczyzna zagłębiał się w mokry, rozszepczany gąszcz, coraz bardziej jednak słabło.

Aż w końcu samotny cień, brodząc po kolana w wysokiej, mokrej trawie, w lekkiej mgiele, parł przed siebie już tylko po omacku...

*

Pora wyjaśnić jedną sprawę. Chodzi o to, że jestem człek piszący, przez złośliwych nazywany piśmiennym, choć może dobre i to. Określenie, to pierwsze, oznacza, że udaje mi się utrzymywać w życiu (choć coraz częściej można to nazwać utrzymywaniem się przy życiu, bo woda coraz to sięga ust, ty-ci-tyci...) z zapisywania słów. Kiedyś mówiło się dumnie o zacernianiu kartek papieru, ale dziś, w dobie powszechnej komputeryzacji i Internetu, kojarzy się to raczej z ciężkim zatwardzeniem.

A zatem piszę słowa, zdania, czasami nawet całe strony. I czasami też robię coś całkowicie irracjonalnie. Moja codzienna czynność, o której wcześniej wspomniałem i pewnie jeszcze nieraz wspomnę, trochę mnie tłumaczy. Niedużo, ale zawsze. Irracjonalne tego dnia było wszystko: począwszy od śniadania, na które zjadłem dwie kromki razowego chleba i jajecznicę z jednego, bo tylko tyle mi zostało w lodówce, jaja. Potem wyjście na targ staroci na Kole, nie wiadomo właściwie po co, bo niczego ze sobą nie przyniosłem. I obiad, już trochę lepszy niż śniadanie, ale konkretny skład menu nie ma tutaj większego znaczenia, choć może kiedyś pokuszę się o napisanie jakiejś książki kucharskiej. Tylko że taką, przeznaczoną dla mieszkających w pojedynkę, ktoś ponoć ostatnio wydał. Idę zresztą o zakład, że autor tej książki ma najpewniej żonę i trójkę dzieci, a ta żona pysznie gotuje.

Postanowiłem spędzić kilka dni w rodzinnych stronach. Mimo że wiedziałem, po co i dokąd jadę, nie byłem do końca przekonany, że zabranie kluczyków auta, otworzenie nimi drzwi, wejście do gorącego wnętrza, przekręcenie kluczyka w stacyjce, zapięcie pasów bezpieczeństwa to najwłaściwsze posunięcia. Mimo iż wszystko było dokładnie obliczone: trasa, czas, nawet benzyna w baku, nie byłem pewien swego.

Nie będę ukrywał: jestem gość sentymentalny. Często popadam w melancholię, a także uparcie gloryfikuję przeszłość, zupełnie jak ten stary pierdoła siedzący na ławeczce przed blokiem, co to dłubie w nosie

i mówi, że kiedyś wszystko było lepsze. A poza tym uważam siebie za raczej zrównoważonego faceta. Niesionej szklanki z gorącą herbatą nie wypuszczę widowiskowo z ręki na wieść straszną i niespodziewaną, tylko spokojnie doniosę i postawię na stole, najwyżej roniąc kilka kropel. Nie schylę się po leżącą na schodach drobną monetę, gdy schodzę na stację metra, a za mną prze tyraliera spieszących się jak co rano do pracy ludzi.

Ale oto z bijącym mocno sercem wyjeżdżam z miasta. Zwykle czuję się podobnie, gdy doń wjeżdżam, a nie odwrotnie. Widzę od tak dawna wyczekiwaną tablicę z nazwą, zdejmuję nogę z gazu. I gdy za chwilę czeka mnie jakieś spotkanie, przykre lub miłe. Ale teraz, jak mówię, zabudowa rzednie, ruch też. Mogę przyspieszyć, więc wrzucam piąty bieg i mocniej naciskam pedał gazu.

Jest już wieczór. Samochód co chwilę wpada w kłębowisko mgły i równie szybko udaje mu się z niego wyprysnąć. Dzieje się tak z reguły wtedy, gdy zjeżdżam w dół, w miejsca, gdzie szosa przecina się z kanałem, rzeczką bądź biegnie wzdłuż brzegu jeziora. Od kilkudziesięciu minut pojazd mój jedzie bowiem przez lasy, rozpoczynające się tuż za równiną Mazowsza i Kurpi.

Znajome tabliczki z nazwami, uśpione domostwa i szczekające czujnie psy podwórkowe migocą tylko w bocznych szybach auta. Opony syczą, przecinając kałuże, trzeszczą, ścinając pobocze, gdy z przeciwka widać zbliżające się światła, szosa wszak coraz węższa, coraz gorzej utrzymana. Mimo że jest już późna pora, w ogóle nie czuję zmęczenia. Co więcej, po całym tym dziwnym dniu czynność prowadzenia samochodu niesie mi wyraźną ulgę. Mijane wsie i miasta zapadają się w ciemność. Łagodnie wchodzę w zakręty, przyspieszam i zwalням, z radością zmieniam biegi, jakbym siedział za kółkiem po raz pierwszy w życiu. Pęd powietrza i drzenie pojazdu niesie spokój.

Dzień gaśnie. Szosa jest już w bardzo kiepskim stanie, pełna dziur i wąska, toteż muszę skupić uwagę na prowadzeniu samochodu. Tydzień się skończył, więc można się spodziewać podchmielonych rowerzystów czy grupki zmierzającej na wiejską dyskotekę młodzieży. Nie mówiąc już o zwierzętach leśnych i domowych.

Od samego początku słucham radia, choć szybko zniechęcam się do każdej kolejnej stacji, a tych jest coraz mniej. Jakoś nic nie jest mnie w stanie zadowolić. Co chwila gaszę odbiornik, by po kilkunastu minutach znów go włączyć. Dopiero piosenka z lat osiemdziesiątych wprawia mnie w tęskne rozrzewnienie. Ale kończy się i puszczają hip-hop, a tego już nie jestem w stanie znieść. Wyciągam rękę, by wyłączyć

radio. Palec nie natrafia jednak na przycisk. Opuszczam wzrok i ponawiam próbę...

W tym momencie auto wpada w wiraż. Błyskawicznie naciskam na hamulec. Siła odśrodkowa rzuca jednak pojazd na bok. Koła łapią pobocze. Chrobot żwiru. Jakiś cień przemyka tuż przed maską. Coś głucho wali o karoserię...

Duszne przerażenie ściska mi klatkę piersiową, rzuca na twarz niewidzialną, mokrą i gorącą szmatę. Zimny dreszcz batem przez plecy. Zatrzymuję się na poboczu.

– No, to narobiłem – huczy mi w uszach jakiś głos, choć przecież radio udało mi się w końcu wyłączyć.

Wyłączam też silnik, zostawiając jednak zapalone światła mijania. Na przedniej szybie momentalnie pojawiają się okrągłe liszaje. Wiem, że powinienem wysiąść. Wiem też, że się boję. Boję się jak jasna cholera. Stoję zupełnie sam, w lesie, wokół żadnych świateł, to i nie dziwota. Nikt też nie mógł mnie widzieć. Nikt oprócz...

Wreszcie otwieram drzwi i wychodzę z samochodu. Cisza jest totalna, żadnych złorzeczeń, żadnego rżenia rannego, wołania o pomoc, o uśmierzenie bólu, nic. Nawet świerszcze i żaby wyniosły się stąd albo zaniemówiły nagle, bo oto znów homo homini gotuje smutny los. Choć wciąż jest niby sapiens. Robię dwa kroki wzdłuż auta, potem jeszcze jeden.

Żwir pobocza chrzęści pod podszewkami butów, ale ja słyszę go tak, jak słyszy się ziarnka piasku, które dostały się między zęby.

– Halo! – wołam i słyszę się, jakbym był w doskonale wygłuszonym radiowym studiu.

Niczego nie widzę. Nie ma też szans, żebym mógł przeszukać rów, który ciągnie się wzdłuż szosy. Już chcę wrócić, gdy w czerwonej poświacie tylnych świateł, kilka metrów za samochodem dostrzegam wyraźny podłużny kształt.

Człowiek. Rusza się. Powoli idzie. Idzie w moją stronę...

– Halo! Nic się panu nie stało? – wołam znów przez ściśnięte strachem gardło.

Tamten jednak nie odzywa się.

Ja go nie zabiłem, więc teraz on mnie... – myślę sobie i szybko tego żałuję, gdyż swój wewnętrzny głos słyszę teraz spotęgowany i huczący; nie jestem nawet pewien, czy i on go nie usłyszał...

Zaczynam się cofać.

– Co? – odzywa się naraz tamten, nieco bełkotliwie, jakby ktoś wyrwał go gwałtownie z głębokiego snu. – Co się stało?!

Jest już blisko. Idzie lekkim skosem, jakby był pijany. Pewnie i jest, bo to święta sobota. Mężczyzna powoli wchodzi w krąg czerwonej poświaty, która w całkowitej ciemności w zupełności wystarcza, by można było zobaczyć, co się nawyprawiało.

Staje jakiś metr przede mną. Nie czuję jednak wódki. Mimo to ten człowiek wygląda okropnie. Kuleje, z głowy cieknie mu krew. Ma na sobie czarny sweter i także buty bez połysku. Niebieskie dżinsy. To wszystko. Średni wzrost, krótkie włosy, twarz... Jego twarz... Patrzę na nią i wiem, że ją skądś znam.

– Cholera – klnie naraz intruz, choć dzieci bluzgają gorzej; opuszcza nieco zakrwawioną głowę i obie jego ręce gwałtownie opadają na klape bagażnika mojego samochodu.

Cieżko przetykam ślinę. Słyszałem już o takich przypadkach. Niektórzy moi znajomi zaczęli nawet wozić ze sobą kije baseballowe. A ja nie mam pod ręką nic – ani lewarka, ani blokady kierownicy. Nawet klucza. Nie spojrzałem nawet, jak wygląda przód wozu. Ale zaraz zobaczę, jak będzie wyglądał jego tył. A wiedziałem, od początku czułem, że coś się jednak wydarzy.

– Ty – woła znów tamten, nie zmieniając pozycji, której ponoć wymagają amerykańskie przepisy od kierowcy rewidowanego przez policjanta.

– Bardzo pana przepraszam... – próbuje przybrać pewny, oficjalny ton; gościowi najwyraźniej nic nie jest i myślę, że chyba można zacząć się ewakuować.

– Ty – rzuca znów facet, ale już jakoś łagodniej.

– No co?

Cisza. Słysząc tylko przyspieszony oddech nieznajomego znajomego. Dopiero teraz zauważam, że on patrzy na mnie. Od dołu, bo wciąż się pochyla, ale przenikliwym, trzeźwym spojrzeniem.

– Jesteś Bem? – pyta po chwili.

Robi mi się jakoś ciepło. Jak na dźwięk swojego nazwiska, które wyczytywał kiedyś z dziennika surowy nauczyciel, choć jednak trochę inaczej. Żadnego belfra gość też mi nie przypomina, ale nazwisko, owszem, jest moje...

– Tak – potwierdzam niegłośno.

– Nie poznajesz mnie?

Teraz to już robi mi się gorąco. Ale wciąż nic nie odpowiadam.

– Nie poznajesz...

Chcę coś powiedzieć, bo jakoś czuję, że wypada. On jednak po raz kolejny jest szybszy.

– Prycza w prycze, prawie cztery lata – śmieje się cicho. – Piotr.

Prostuje tułów i odwraca głowę w moją stronę. Silnik samochodu pracuje miarowo, ale co chwila z rury wydechowej coś prycha. Nie wiadomo czemu, właśnie wokół tego zjawiska zaczynają teraz krążyć moje myśli. Przekonanie, że przecież przed chwilą przekręciłem kluczyk w stacyjce, szybko przestaje być cokolwiek warte.

– Jasne – odczuwam jakby nagłe olśnienie. – Jasne, że tak. Poznaje cię!

– Ja też nie byłem pewien.

– Co tu robisz? Nic ci nie jest?

– Bywało lepiej – odpowiada, krzywiąc się w uśmiechu.

– To ja cię tak urządziłem? – pytam niepewnie.

– Nie. To wcześniej – jęczy on, po czym przysiada na tylnym zderzaku, dysząc ciężko.

– Chyba trzeba coś z tobą zrobić – mówię po dłuższej chwili.

Kiwa głową. Próbuje się nawet uśmiechnąć.

– Pewnie. Zróbmy coś.

Po kilku chwilach jedziemy dalej razem. Zupełnie jakby nic się nie stało. To, póki co, najlepsze, co można zrobić.

– Dokąd jechałeś? – pyta mnie Piotr.

– Będziesz się śmiał...

Ale on już nie chce wiedzieć. Pewnie mu i nie do śmiechu.

– Stawiam świat na głowie do góry nogami. Na odwrót i wspan bawię się słowami. Na białym, czarnym kreślę jakieś plany. Jutro będę duży, dzisiaj jestem mały... – dobiegają z radia słowa przeboju sprzed lat.

– Wreszcie coś porządnego – mówię, zerkając we wstecznym lusterku na Piotra, który półyży na tylnym siedzeniu.

– Co? – ten jakby znów wybudza się z letargu.

– Zaraz będzie miasto. Pojedziemy na pogotowie.

– Na pogotowie? – mruży niechętnie.

– A co? Przecież trzeba cię opatryć. Wiem, w starych gangsterskich filmach jechało się raczej do weterynarza. Kurcze, nikt by mi w to nie uwierył...

Patrzę znów we wsteczne lusterko. Spodziewam się ujrzeć uśmiech na twarzy mojego starego szkolnego kolegi, jako potwierdzenie żartu, jednak zamiast tego widzę tylko grymas. Nieodespanego kaca? Wysiłku? Bólu?

– Ale żeś się, stary, zaprawił. Jakaś impreza była, co? – pytam po chwili.

– Coś w tym rodzaju – odpowiada ranny.

– Nie widzieliśmy się tyle lat. Ledwo cię poznałem.

– A ja ciebie od razu.

Milkniemy obaj. Po bokach migoczą światła. Znam dobrze tę

miejscowość, więc od razu i bez pytania o drogę zmierzam do szpitala. Wkrótce zatrzymujemy się przed podjazdem dla karettek. Pomagam wysiąść poszkodowanemu, po czym dokładnie zamykam wóz.

Kierujemy się ku oświetlonemu wejściu. Wnętrze śmierdzi jakimś środkiem dezynfekcyjnym.

– Z wypadku? – pyta nas ładna pielęgniarka, gdy wchodzimy nieco głębiej.

– Nie – odpowiadam. – Jakiś większy wypadek był? Drogowy?

– Nie. Samolot rozbił się podczas podchodzenia do lądowania. Słyszeliśmy w radiu – mówi siostra. – Ale jeszcze nikogo do nas nie przywieźli...

Piotr mamrocze coś niezrozumiale. Siostra ogarnia nas podejrzliwym spojrzeniem.

– Proszę usiąść i chwilę poczekać – mówi wreszcie bardzo oficjalnym tonem. – Zaraz przyjmie panów lekarz.

Kuśtykamy w stronę rzędu białych krzesel, ustawionych pod ścianą, na której powieszono plakaty z kolorowymi obrazkami i hasłami: MYJ ZĘBY DWA RAZY DZIENNIE albo BŁONICA WCIAŻ GROŹNA.

– Nie widzieliśmy się tyle lat – odzywam się po chwili.

– Już to mówiłeś.

– A tak, rzeczywiście...

Lampy jarzeniowe, które oświetlają poczekalnię izby przyjęć szpitala, buczą jednostajnie. O sufit obijają się komary. Z pomieszczenia, w którym siedzi pielęgniarka, przez oszklone okienko dobiegają nas strzępy jakichś głosów, dochodzące prawdopodobnie z radia.

Dopiero teraz mogę dokładniej przyjrzeć się dawno niewidzianemu znajomemu. Zupełnie się nie zmienił. Nieogolony, wyświechtany – wygląda, jakby w istocie ostro balował. I to przez kilka dni i nocy. Krew na skroni zakrzepła i przybrała barwę brązową.

– Czy pamiętasz, jaki kolor miały lamperie w naszej szkole? – pyta naraz Piotr, patrząc nieruchomo przed siebie.

– Lamperie? – dziwię się.

– Tak.

– Zawsze się mówiło: zapier... – ucinam nie wiadomo czemu, ale on bez skrepowania dokańcza stare i nieprzyzwoite powiedzenie:

– Zapierdalać jak pershing na wysokości lamperii.

Spłoszony nieco, patrzę, czy przekleństwo nie zdenerwowało siostrzyczki, Piotr jednak jakby się tym zupełnie nie przejmował.

– A teraz za cholere nie mogę sobie przypomnieć ich koloru – ciągnie ze spokojem. – A ty? Pamiętasz?

- Czasami mam trudności z przypomnieniem sobie, co było wczoraj
- śmieję się.
- Pamiętasz naszą szkołę?
- Czegoś takiego się nie zapomina.
- A internat?
- To przecież właściwie jedno i to samo.
- Właściwie tak.
- Niby nic takiego, szkoła jak szkoła.
- Niby nic.

Z okienka dobiega fragment melodii. Znowu znajomo rzewnej, jakby jakiegoś didżeja albo kilku naraz wzięło na wspominki. Lub nagle wszyscy się pochorowali i w zastępstwie przysłali do rozgłośni swoich rodziców. Piotr podnosi głowę. Słucha z napiętą uwagą. Po chwili szklą mu się oczy. Zawstydzony, szybko odwraca twarz...

Rok pierwszy

- Opowiadaj.
- Ja chyba jednak mało co pamiętam.
- Pamiętasz bardzo dobrze. Kto, jak nie ty?
- Przecież to już tyle lat.
- Pamiętasz, pamiętasz. Mów wreszcie!

Pamiętam? Może tyle, że wieczór był ciepły i wyjątkowo cichy. Z pobliskiej łąki albo trawiastych stoków rozciągających się za ogrodzeniem szkoły i internatu dochodził jedynie szmer koników polnych czy innego ukrytego za dnia robactwa. Miarowy, jakby był dziełem najprawdziwszej orkiestry, gimnastykującej się w pocie czoła na koniec upalnego letniego dnia pod okiem surowego dyrygenta, przegiętego w krzyżu, ale dość jeszcze żywego starca.

Finał i wezwanie na spoczynek. Choć równie dobrze mógł nim być w tym czasie również dochodzący z otwartych okien domów sygnał Dziennika Telewizyjnego, a po nim suchy, monotony głos lektora, donoszącego, że znów nam się udało na froncie odnowy, że partia liczy na zrozumienie, jednoczy się i tak dalej. Albo wcale przyjemny głosik dopiero co rozbłysłej gwiazdki estrady, przekonującej, że przecież nie ma się czym przejmować, bo mamy po dwadzieścia lat...

- A my nawet tyle nie mieliśmy!
- Nie przerywaj! Mam mówić dalej?
- Tak, mów. Przecież pamiętasz.

Pamiętam? Pamiętam bardzo dobrze słońce tego wieczora. Coraz niżej pochylało się nad jeziorem, a niebo między porastającymi brzeg drzewami przypominało swoją barwą...

– Krew!

Bez przesady... Zwyczajnie różowiało, może już nawet czerwieniło się.

- Jak każdy z nas w tych dniach na dźwięk swojego nazwiska.
- A to dobre!

Zbliżał się wieczór. Czas powrotów do domów. Nie pierwszy to raz, nie

ostatni – pomyślałoby wielu podobnych do nas. Nastolatków. I poszliby sobie, nie przejmując się niczym, na jeszcze jeden wieczorny spacer, który miał duże szanse przerodzić się w nocną eskapadę.

Żeby tak można było pójść sobie jak gdyby nigdy nic, jak jeszcze tydzień temu, jak wczoraj. Nad rzekę, na Stare Miasto z pasażem, wzdłuż którego usadowili się uliczni grajkowie, czy na brzeg morza, znad którego powoli zaczynali składać swoje kramy handlarze bursztynowymi naszyjnikami i właściciele prowizorycznych smaźalni ryb, jeszcze przed tygodniem obleganych przez tabuny wczasowiczów. Bo przecież zarówno sierpień, jak i całe wakacje kończyły się nieuchronnie.

Pamiętam?

*

– Kurwa mać! – zaklął któryś szkaradnie i splunął pod nogi. – Ile to może trwać?!

– Kolejka jak po mięso.

– A masz może jeszcze kawałek tej kiełbasy z kolacji?

– Pytałeś pięć minut temu.

– Nie dość, że kazali nam przyjechać jeszcze w sierpniu, to każą nam stać w kolejkach – dorzucił swoje czarniawy chłopak, ostrzyżony na języka, ale o dość długich włosach.

– Ktoś cię zmuszał? – dobiegło gdzieś z boku; nie było widać autora tych słów.

Któryś zaśmiał się głupkowato, inny rozejrzał się z trwogą dookoła, jakby spodziewał się uderzenia albo co najmniej ostrej reprymendy, poprzedzonej niezbyt głośnym, ale i tak wzbudzającym trwogę krzykiem.

Nic z tych rzeczy jednak nie nastąpiło. Tylko znów ta cisza.

Kolejka poruszyła się niespokojnie, by po chwili znów znieruchomieć, jak legwan chwilę po zjedzeniu muchy. Jakaś spora, sądząc po głosach, grupka roześmianych dziewcząt przechodziła wzdłuż ogrodzenia w stronę miasta.

– Dupki, dupeczki! – zawołał chłopak słusznej postury i o niezłym bicepsie, z czym kontrastowała niewinna twarzyczka szkolnego prymusa; wykonał przy tym ruch, jakby gotował się do skoku. – Poczekajcie...

– Już lecą – zaśmiał się stojący z tyłu niepozorny, chudy, z zakrzywionym nosem, którego dodatkowo charakteryzowało drobienie w miejscu.

– Co się dziwicie chłopakowi – odezwał się niewysoki blondyn, którego

imienia również nie zdażyłem poznać. – Może nie miał farta w wakacje, każdemu się zdarza.

– A my tu za płotem, jak te mały w zoo, a tam cipki stygną – dobiegło z przodu kolejki, na co wszyscy tylko cicho, ale jak jeden westchnęli.

No! Taki spacer wieczorny. Z dziewczyną. Sama radość. Może jeszcze nie ostatni raz, choć jesień coraz to dawała o sobie znać chłodniejszym wieczornym powiewem od jeziora i lasu, a nad ranem może już nawet pierwszą, cienką jeszcze warstewką szronu na parapetach, dachach małych i dużych fiatów czy kątownikach ogrodzenia szkół, w kierunku których coraz więcej par oczu popatrywało z coraz większą niechęcią, a może przeciwnie – ciekawością i nadzieją.

– Idę do nich! – krzyknął ten z bicipsem, wychodząc z kolejki, ale tylko jedną nogą.

– Akurat – drwił nadal drobiący w miejscu.

– Myślisz, że nie przeskoczę przez ten płot jebany?

– Tak samo jak dwa miesiące temu, na egzaminach, mówiłeś, że wyskoczyć po flaszkę do miasta, to dla ciebie pikuś.

– Nie pamiętam cię z egzaminów.

– Za to ja cię kojarzę. To jak to z tą flaszką było?

– Tam stali wartownicy z kałachami. Kadeci ze szkółki. Jeszcze mi życie miłe.

– Jasne. Ale tutaj tylko dziadek cieć na bramie, więc o co chodzi? Leć!

– Sam wiem, co mam robić.

– Taki płotek, w dodatku bez drutu kolczastego – nie przestawał prowokować drobiący w miejscu. – Nawet dwóch metrów nie ma. Dziecko by przeskoczyło.

– A chcesz w ryło? – zdenerwował się „biceps”.

– Ciszej tam, do cholery! – dobiegł nas wyraźny, schrypnięty głos magazyniera, dość ponurego typu dobrze po pięćdziesiątce, który pewnie na co dzień wystawał w takich samych, a może i dłuższych kolejkach po mięso czy poranną gazetę. Ale teraz to on był panem naszego czasu.

Kolejka znów się poruszyła. Spojrzeliśmy ku przodowi ogonka, który kończył się, a raczej chyba zaczynał przy starym poniemieckim, piętrowym budynku z czerwonej cegły, w którym mieścił się magazyn. Z nadzieją spojrzeliśmy. Jedni zrobili to, stając na palcach, inni wystawiając głowy na boki, a niektórzy zupełnie bez wysiłku.

Z lewej strony przeszło dwóch chłopaków objuczonych foliowymi workami. Mimo to pryszczate gębusie śmiały im się od ucha do ucha. Szczęśliwcy. Tyle godzin czekania. Na głowy włożyli sobie granatowe

rogatywki z wężykiem wyszywanym srebrnym bajorkiem w miejscu paska; w rękach nieśli po parze czarnych pantofli, z których wystawały drewniane prawidła.

– Ale obciach te galowe czapki – ocenił skrzekliwym głosem ktoś ze stojących z przodu.

– Gównu się znasz – zripostował ktoś budzącym posłuch basem.

Znów krok do przodu. Zaczynały mnie boleć nogi. Usiadłem na wysokim krawężniku.

– Portki sobie upaprzesz – zauważył „drobiący”.

– Czemu? – zdziwiłem się, unosząc tyłek.

– Krawężniki są pomalowane wapnem.

– Wapnem?

– Jak w każdej jednostce. Równiuśko ma być!

Potałem dłonią zimny beton. Na skórze rzeczywiście zostało trochę białego proszku.

– A trawę na zielono malują – zaśmiał się niewysoki blondyn, ten, którego imienia wciąż jeszcze nie zdążyłem poznać.

Od razu przyłączyli się do niego następni; również nie znałem ich imion ani nawet przezwisk. Dotychczas szeptali tylko w parach lub co najwyżej w trójkach, przestępowali z nogi na nogę, jakby dokuczał im pełny pęcherz, lub tylko spluwali na boki, popatrując tęsknym wzrokiem w kierunku płotu albo stołówki. Ale było już dobrze po kolacji.

– Ja słyszałem, że kible myje się sznurowadłem.

– A boisko szczoteczką do zębów.

– Ciekawe, co nam każą dziś wieczorem robić.

– Pewnie jakiś nocny marsz.

– Do kibla i z powrotem.

– Może czołgać się?

– Albo pompki trzaskać.

– Ja to pięćdziesiąt z palcem w dupie zrobię.

– To chyba na jednej ręce. Nie dasz rady.

Zarechotało zdrowo z pół kolejki.

– Wiecie, czemu nad bramą do każdej jednostki wojskowej jest napis WOJSKO POLSKIE? – zapytał „drobiący”, na co kilku z nas tylko wzruszyło ramionami, nastawiając jednocześnie uszu. No bo jak to po co? Radzieckie, amerykańskie? Wiadomo, że polskie!

– Żeby ktoś z cyrkiem nie pomylił – prychnął drobiący chudzielec.

Zaśmialiśmy się. Zbiorowo i krótko. Po wojskowemu.

– Ciszej tam z tyłu, do ciężkiej cholery! – wrzasnął znów magazynier.

Poskutkowało. Na chwilę. Chyba nawet te świerszcze z pobliskiej łączki

ucichły stropione, a może tylko nam się zdawało. W każdym razie szum rozmów, chrząknięć, pomruków i splunień znów uniósł się nad naszą kolejką.

– A wiecie, gdzie zaczyna się wojsko? – zadał z kolei swoją zagadkę udobruchany „biceps”, po czym zawiesił głos dla lepszego efektu.

– Nie – odpowiedziało kilku z nas niemal jednocześnie.

– Tam, gdzie kończy się rozsądek i zdrowe myślenie.

– Ktoś cię zmuszał? – dobiegło znów gdzieś z boku; i znów nie było widać, który z chłopaków to powiedział...

Nie. Nikt nas nie zmuszał.

Bramę dopiero co otwieranego Ogólnokształcącego Liceum Wojskowego w wojewódzkim mieście, bramę czwartej tego typu szkoły w kraju, przekroczyliśmy z własnej i nieprzymuszonej woli. Poprzedniego popołudnia i wieczora. Odprowadzani przez rodziców, dzielnie powstrzymujących łzy, dziewczyny, jeśli który miał, albo kolegów, którzy mogli cieszyć się jeszcze kilkoma dniami wakacji. A może po cichu nam zazdrościli? Cholera ich wie...

Przywożeni samochodami, pociągami, autobusami albo przynoszeni przez własne nogi, wszak wielu z nas mieszkało w tym mieście od urodzenia, przekraczaliśmy bramę byłej, odnowionej jednostki wojskowej, położonej jak inne na skraju miasta, nad jeziorem i w pobliżu miejskiego lasu. Już za parę dni miał się tu rozlec pierwszy szkolny dzwonek.

Ot, niby nic takiego...

– Liceum jak każde, tylko bez babek. Mniej będziecie walić konia, to i zdrowsi będziecie! – tu następował zwykle koński śmiech na granicy torsji i przyjacielskie poklepywanie po plecach.

– No bo przecież w takiej samochodówce, kolejówce czy jakimś innym technikum elektrycznym też same ptysie i bale samców, że do klasy wejść się nie da, bo capi potem, fajkami i niepranymi skarpetami – przekonywali nas koledzy z podstawówki czy podwórka, a może to my sami dodawaliśmy sobie otuchy?

– Ogólnokształcące i jednocześnie wojskowe? To jakiś kit! Albo, albo. Jak wojskowe, to przecież nie ogólnokształcące. Tak jak jest liceum pocztowe czy jakieś zawodowe – mądrzyły się, trącąc się przy tym znacząco łokciami, inne podwórkowe omnibusy.

Na początku była portiernia: pomalowany na żółto i pokryty brązowym eternitem budynek z dużymi szybami i automatem telefonicznym. Ze ściany zapomniano zdjąć blaszaną tabliczkę z napisem BIURO PRZEPUSTEK, a ze środka wywietrzyć charakterystyczny smrodek.

Zresztą coś w rodzaju przepustki, opieczetowanego druczku z własnym imieniem i nazwiskiem, będącego również i biletem na pociąg, każdy z nas w wyciągniętej, spoconej dłoni trzymał.

Obok portierni znajdowała się brama ze szlabanem. Emeryt na tejże placówce, z wprawą byłego oficera informacji wojskowej lub dzielnicowego, bez podnoszenia się z miejsca, przyglądał się okazywanym mu kwitkom.

– W porządku – mówił lekko bełkotliwie. – Teraz zgłosicie się do kierownika internatu. Prosto trza iść i w prawo, a potem w lewo – machnął ręką w powietrzu, zainteresowany już bardziej prognozą pogody po Dzienniku, który oglądał w małym czarno-białym telewizorku.

Internat. Ładny nawet, świeżo otynkowany i pomalowany także na żółto budynek, otoczony jakimś zielskiem, kilkoma karłowatymi świerczkami. W kilku otwartych oknach kudłate głowy pierwszych skazańców.

– W porządku – powiedział siedzący na recepcji oficer w mundurze podpułkownika wojsk lądowych, mężczyzna o ogorzałej, postarzałej twarzy, przypominający dobrotliwego niepiśmiennego hodowcę owiec.

On właśnie okazał się być tu gospodarzem, czyli kierownikiem internatu, czyli taką naszą babcią na pensji, która ciągle powtarza: myć się, dziewczynki, pod koldrę wskakiwać i chłopców nie przyjmować. Tak, był nawet sympatyczny. Mimo to stałem wyprostowany. Z duszą na ramieniu i plecakiem na drugim.

– Klasa I B, z językiem angielskim – zaordynował, wpisując moje nazwisko do jakichś dokumentów.

– Ale ja się niemieckiego uczyłem. Trzy lata prawie... – bąknąłem niewyraźnie.

W tej samej chwili zmroził mnie dreszcz przerażenia. Że też, durna pało, języka na wodzy trzymać nie potrafisz! Wrodzona wada wpieprzania się ze swoim „ale” w najmniej oczekiwanym momencie. Po cholere się odzywasz? Podpadziocha jak nic. I to już pierwszego dnia.

Popatrzył na mnie zmęczonym wzrokiem. Pewnie przyjmował już tego dnia któregoś z kolei takiego gagatka. Za mną ustawiła się już spora kolejka nie mniej przerażonych rówieśników.

– W takim razie klasa I C, z językiem niemieckim – powiedział, po czym znów coś zapisał, przekreślił, parafował. – Pokój 207 na drugim piętrze. Następny.

Wykończone drewnem schody lekko skrzypiały, wokół w ogóle pachniało drewnem, farbą, gumoleum, jakimś środkiem dezynfekcyjnym. No i nowością. Zewsząd dochodziło trzaskanie drzwiami, chłopięce głosy, jakieś nawoływania. Nawet śmiech.

W moim pokoju był już jeden.

– Karol jestem. Sulik.

– Krzysztof.

Poznaliśmy się sucho. Kilka zdawkowych informacji, skąd i czy dziewczyna będzie tęsknić. Na razie bez trudnych pytań, w rodzaju „po co” i „dlaczego”. Wybrałem sobie pryczę pod ścianą, najbliżej drzwi. W ciągu następnej godziny był już cały skład: w przypadku pokoju 207 – cztery osoby.

– Czterech pancernych – zazartował ten, co się pojawił jako trzeci, chudy chłopak o długim nosie. – Tylko psa szukać.

– Jak w ruskim czołgu, to my tu przechlapane będziemy mieli – oceniałem.

– A mi tam nie zależy – skrzywił się kolega Karolek.

– No co ty? Po takiej nerwówce na egzaminach? – zdziwiliśmy się z chudym o długim nosie.

– Ja się do dwóch liceów dostałem...

Dalsza rozmowa niezbyt się kleiła. Każdy jeszcze trochę dziki, z bagażem wyniesionych z rodzinnego domu przyzwyczajęń, może już zaczynał tęsknić za mamusią albo nawet żałować, na razie po cichu, życiowej, bo tak ją można było już chyba traktować, decyzji.

– Może magnet włączyć? – zapalił się znów ten chudy.

– Masz?

– Grundiga.

– A ten głośnik nad drzwiami nie działa? – odezwał się Tadeusz Piskor, czwarty z nas, wysoki, z kręconymi włosami; było to zresztą pierwsze całe zdanie, jakie tego wieczora wypowiedział.

– Nie wiem – bąknąłem. – Wstańcie i sprawdźcie.

Ale nikt się nie ruszył ze swojej pryczy. Dalej więc leżeliśmy tak sobie na kraciastych kocykach, na żołnierskich, metalowych łóżkach, z rękami splecionymi za głowami. Leżeliśmy i patrzyliśmy w sufit, trochę za okna, gdzie powoli gasł sierpniowy dzień. No i przede wszystkim podziwialiśmy dobrą, jakimi ludowa armia i ojczyzna robotników i chłopów miała nas za darmo i na długo obdarzyć, a właściwie to już przecież obdarzyła.

A mianowicie: biurczkiem młodzieżowym z mogącymi pomieścić wiele książek i uczniowskich drobiazgów szufladkami, półeczkami, przegródkami, szklaną miniwitryną, gdzie można było z powodzeniem umieścić fotografię dziewczyny, pocztówkę z wakacji lub święty obrazek, a nawet maluśkim sejfikiem zamykanym na kluczyk, który zresztą otrzymałem od przybyłego wcześniej kolegi (wszystkie cztery

schował do kieszeni, taki zapobiegliwy!). Cały mebelek był w kolorze jasny beż, okleinka jak ta lala.

Obok stał takiego samego koloru słupek szerokości około pięćdziesięciu centymetrów, z wieszakami i nadstawką na pomniejsze części garderoby. Na biurku regulowana, blaszana lampka do czytania, obok krzeselko twarde, ale własne. Wszystko pachnące jeszcze fabryką czy meblowym składem. I, co najważniejsze, cztery takie komplety w czterech kątach izby, obok łóżek. A nas czterech.

– Mydło! Mydło rozdają! – dobiegł nas czyjś wrzask z korytarza.

Niemal jednocześnie zerwaliśmy się na równe nogi. Każdy tylko popatrzył na drugiego. A jednak nam zależy. Jak cholera. Nawet na głupim mydle.

Wyszliśmy na długi, wąski korytarz. W jednej chwili zaroilo się od chłoptwa: wysokich i niskich, grubych i chudych, przygarbionych i wyprostowanych jak struna, blondynów i czarniawych, przyczajonych i wygadanych, wyglądających na swój wiek i młodszych, już wąsatych i jeszcze przeżywających męki trądziku młodzieńczego. Albo obdarzonych jednym i drugim równocześnie.

W jednym z pomieszczeń gospodarczych na parterze internatu, gdzie starszy mężczyzna przydzielał środki czystości, zastaliśmy wcale sporą i rozgadaną kolejkę. Ale dość szybko szło. Magazynier przydzielał każdemu z nas po kostce śmierdzącego szarego mydła marki Junak, małej tubce miętowej pasty do zębów nivea i ordynarnej szczoteczce do zębów, a także po pudełku czarnej pasty do butów. Do tego gustowne flanelowe wdzianko nocne, czyli piżamka: używany powszechnie w szpitalach resortowych i więzieniach biało-niebieski pasiak, zapinana z przodu bluza z trzema kieszeniami oraz porcieta dość luźne, szerokie i niemodne, wszak wciąż panował styl punk, ale na miasto to i tak przecież nikt w tym wychodził nie będzie.

– Oświećm wita was – zanucił któryś, powodując wybuch śmiechu reszty, na co magazynier czujnie podniósł wzrok, błyskając gniewnie szklami okularów, ale w żaden sposób nie skomentował tego skojarzenia.

Całości podstawowego wyposażenia każdego czyściocha dopełniał biały ręczniczek, szmatka raczej, z tłoczonymi inicjałami WP, co od razu rozszyfrowaliśmy jako... West Point, i drugi, frotté, kolorowy. Biały do nóg, kolorowy zaś do rąk i bużki. Tak się nam przynajmniej wtedy wydawało, choć potem oba te sorty znajdowały bardzo szerokie zastosowanie.

Szybko wróciliśmy do swoich pokoi. Niektórzy postanowili

wypróbować od razu zdobycze rodzimego przemysłu chemicznego, wszak zbliżała się już noc i należało powoli zacząć myśleć o udaniu się na spoczynek.

W łazience, gdzie na dwóch ścianach umieszczono umywalki, czuć było chlorem i pastą do zębów, przy pomocy której zresztą ktoś już zdążył napisać na lustrze słowo MON... Nie wiedziałem, czy autor wychwalał swoją dziewczynę i został przyłapany na tej czynności, przez co nie zdążył ogłosić światu, że chodzi o jakąś Monikę, czy też dziękował w ten osobliwy sposób właściwemu ministerstwu za obdarzenie go szczęściem odrobinę chyba ponad miarę. W głębi łazienki szumiała woda w natryskach i dochodził przebój mijających wakacji:

– Nasza love tak się kręci jak maxi... maxisingiel krótko trwa! – fałszował ktoś wściekle i nie było wiadomo, czy ta jego wymarzona love w istocie się kręci, czy tylko przesuwana w tę i nazad pod letnią wodą.

Gdy wróciłem do swojego pokoju, reszta już leżała w łózkach. Przykryci po nosy, rączki już grzecznie na kołdrze. Wszyscy w jednakowych piżamkach w paski wyglądaliśmy rzeczywiście trochę smutno, a może nawet przerażająco.

– Rzeczywiście, wyglądamy, jakbyśmy w jakimś obozie siedzieli – zażartował któryś. – Tylko czekać na kapo.

Jakby w odpowiedzi skrzypnęła klamka w drzwiach, które ktoś następnie lekko uchylił.

– No i wykrakałeś – zaśmiałem się.

– Się puka, jak się wchodzi! – krzyknął na niewidocznego jeszcze intruza Karol, ten pierwszy, który zasiedlił naszą izbę. – Nie wychowali cię w domu?

Drzwi naszego pokoju uchyliły się szerzej i ukazała się w nich głowa oficera w czapce z czterema gwiazdkami.

– O, cholera... – jęknął chłopak, po czym zakrył sobie twarz kołdrą.

Kapitan wszedł do środka, pociągnął nosem znacząco, otaksował nasze posłania, policzył sztuki na nich leżące, po czym coś zanotował. Był co prawda niewysoki, ale mundur i czapka garnizonowa dodawały mu splendoru, nie mówiąc o tych kilku cennych centymetrach. Twarz miał gładko ogoloną, nos haczykowaty, tylko jego jasne oczy jakoś wzbudzały sympatię.

– Kto tutaj jest starszym pokoju? – rzucił dźwięcznym tenorem, ale z odrobinę wieśniaczym akcentem.

Odpowiedziała mu cisza. Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze poznać naszych imion, a ten pyta, kto tu jest najstarszy. Pewnie ten z nas, który się najwcześniej urodził, dobre sobie. Przestraszony Karol łytał jednym okiem

spod kołdry.

Oficer spojrział na mnie. No i po cholere brałem łóżko przy samych drzwiach?

– Kim? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie, próbując się uśmiechnąć.

– Nazwisko?

Podąłem ze ściśniętym gardłem. Zanotował skwapliwie w swoim zeszycie. No, to pięknie...

– Będziesz starszym pokoju – dokonał mianowania. – Pobudka jutro szósta trzydzieści. I nie bluzgać mi tutaj.

Nim zdążyłem pomyśleć, zaprotestować, proponując inną, może bardziej demokratyczną, poprzedzoną dyskusją formę wyborów, kapitana nie było już w pokoju. Zdażył jeszcze zgasić nam górne światło.

– Załapałeś plusa – ocenił ten z długim nosem.

– Akurat – mruknąłem z niezadowoleniem. – Kto to w ogóle był? Dyrektor szkoły?

– Chyba opiekun roku – wtrącił swoje kręcony Tadzik, a było to drugie i ostatnie tego dnia zdanie, które wypowiedział.

Tymczasem za oknami zrobiło się już zupełnie ciemno.

– Ciekaw jestem tych panienek – odezwał się po dłuższej chwili Karol.

– Jakich panienek? – zdziwiłem się. – Tutaj?

– No skąd tutaj – obruszył się chłopak. – Z medyka czy innego ekonomika. Chyba jakieś dyskoteki tu będą, co?

– To może magnet włączyć? Grundiga! – zapalił się znów ten o długim nosie, którego imienia jakoś wciąż nie udało mi się wychwycić w toku prowadzonej coraz śmieiej dyskusji.

Ale ani on, ani nikt z nas się nie ruszył ze swojej pryczy. Rozmawialiśmy trochę o dziewczynach, trochę o swoich miastach albo o tym, co nas tutaj czeka. Ale zdania padały coraz rzadziej. Z korytarza dochodziły stłumione głosy, jakaś muzyka. Szybko jednak i to ucichło zupełnie.

*

Pobudka następnego ranka była okrutna. Zerwałem się z łóżka z bijącym jak młot sercem.

– Co jest?! Co jest?! – mamrotał z zamkniętymi oczami małowówny Tadzik.

A było to, że dokładnie nad naszymi drzwiami terkotał szkolny dzwonek. I to chyba już od pół minuty. No, to się zaczęło – pomyślało w tym momencie chyba ze sto dwadzieścia głów.

Dzień się zaczął: siku albo klocek, jak kto mniej nerwowy, bo drzwi w ubikacjach nie miały skobelków. Potem szybka toaleta, ślanie łóżek, jak kto umiał, ubieranie się. Jeszcze spojrzenie w lustro. Nie, to tylko woda. Zachlapali przy myciu, nicponie. Woda. Nie łyzy. Dobrze będzie.

Pod wodzą jednego z nas, Mariusza Hallera, wybranego jednogłośnie na gospodarza klasy, głównie z uwagi na gabaryty zapaśnika wagi ciężkiej, wyszliśmy na asfaltowe boisko szkolne. Umiejscowiono je na samym środku kompleksu większych i mniejszych, ale pomalowanych jednakowo na żółto budynków. Kazali nam się ustawić w czworobok. Cztery klasy, w każdej trzydzieści i więcej miejsc, czyli dobrze ponad setka chłopów.

Mrużąc oczy od słońca, a może niewyspania, podejrzliwie popatrywaliśmy na siebie. Poznany wczorajszego wieczora kapitan miotał się między szeregami, póki co, cywilbandy, usiłując zaprowadzić jako taki ład. Potem pojawił się kierownik internatu, który coś gadał o wielkiej chwili, jaka nastąpiła w naszym życiu, praniu, sprzątaniu i paleniu papierosów, a raczej jego kategorycznym zakazie, bo jak kogoś złapią, to od razu do widzenia.

– Jeść – jęknął ktoś odważniejszy w szeregu, na co reszta tylko westchnęła.

Ze stojących na trawnikach kolorowych drewnianych tablic, które mogły być tylko niechlubną pozostałością po jednostce wojskowej, krzyczały do nas jakieś łuszczące się bohomy, a także wymalowane jakby pośpiesznie i wyblakłe już nieco hasła: UCZYĆ SIĘ, UCZYĆ I JESZCZE RAZ UCZYĆ! LENIN. Albo: TAKIE BĘDĄ RZECZPOSPOLITE, JAKIE ICH MŁODZIEŻY CHOWANIA – ANDRZEJ FRYCZ MODRZEWSKI.

Wreszcie odpuścili. Oficerowie. Jeszcze tylko jedno zdanie o paleniu i już. Ruszyliśmy w kierunku piętrowej hali stołówki na śniadanie. Pierwsze śniadanie. Pierwsze...

Zapach przypalonej zupy mlecznej, gnijących obierków ziemniaczanych, a także jakiegoś środka czystości roznosił się już na schodach. Stołówka była ogromna, stoliczki przykryte gustownymi kraciastymi ceratami, czteroosobowe, ustawione w kilku bardzo długich rzędach. Kolejka do okienka, a raczej długiego, skrytego za pomalowanym bladozieloną farbą przepierzenia kontuaru, gdzie wydawano już gorącą strawę, oczywiście – także gigantyczna.

Staliśmy wszyscy, cała nasza dopiero co sformowana klasa, choć jeszcze, jeśli nie liczyć wyfasowanych wczoraj wieczorem pasiastych pizam – żałosna cywilbanda. Na przedzie najbardziej głodni, a może tylko najsprytniejsi, najpewniej pół na pół. Usiłując złapać równowagę

na śliskiej podłodze, w innych zaś miejscach spróbować się do niej nie przykleić, ustawiliśmy się w zwarty rząd, przesuając się karnie nieco pod ścianę. Mimo to mogłem spojrzeć na wiszące nad naszymi głowami inne haselka, kilku nowych kolegów uczyniło to samo. Zauważyłem, że stało się to już jednym ze zbiorowych zachowań.

Aby szybciej czas mijał, zaczęliśmy je czytać na głos:

- UMYJ RĘCE PRZED JEDZENIEM, TO NIE NAZWA CIEBIE LENIEM.
- RÓWNIEŻ WINIEN BYĆ BEZWZGLĘDNIIE CZYSTY KUBEK I NIEZBĘDNIK.
- Co za bzdura!
- To dobre, słuchajcie: SPOŻYWAJ CHLEB WEDŁUG POTRZEB...
- Zły akcent dałeś, na ostatnią sylabę ma być. Według poTRZEB!
- Ty to masz łeb.
- Teraz dobrze.
- Jak koń! Poeta się znalazł.
- SPOŻYWAJ CHLEB WEDŁUG POTRZEB. NIE MARNUJ POZOSTAŁOŚCI. TO DOBRO SPOŁECZNE.
- Kto w ogóle takie bzdury powymyślał?
- Tego posłuchajcie: GDY ZOBACZĘ JAK JESZ A POWIEM CI KIM JESTEŚ.
- No i co chcesz od tego hasła?
- Ale jestem głodny, jak cież pierniczę.
- Przesuńcie się do przodu, co?

Już pierwsi szczęśliwcy pałaszowali zupę mleczną z kluseczkami, siorbiąc przy tym głośno, ale i czujnie zezując na boki. Ci, którzy za nią nie przepadali, krzywili się, próbując kawy, przypominającej rozwodnione gównno, albo zabierali się od razu do niełatwej sztuki rozsmarowania na kromce chleba kawałka kostki zmrożonego na kamień masła.

Powoli dobrnęliśmy do celu. Wydające posiłki kucharki, z reguły stare raszple, patrzyły na nas jak na napierających okupantów. Czasem któraś fuknęła coś pod nosem. Każdy z nas najpierw pobierał z przegródek mokre sztucce, potem z piętrzącej się piramidy trójkątną, blaszaną tacę, po czym zaczynał ustawiać na niej po kolei: talerz z zupą, talerzyk z kawałkiem kiełbasy, kosteczką smarowidła wielkości czterech sześciątów do gry, a także kilkoma sklejonymi kromkami chleba. Na koniec plastikowy kubek z kawą zbożową, który należało ustawić przy wierzchołku trójkąta. I tak zaopatrzonemu udać się na poszukiwanie miejsca.

Nie, nie pamiętam. Co było potem. Przez cały dzień. Wiem dobrze, że było śniadanie, że był obiad, a potem kolacja. A co między posiłkami?

Jakieś słowa, wypowiedane coraz śmieiej, ale już wysłuchiwane z niesłabnącą bojaźnią, bo padające z ust coraz to nowych ludzi, o których nie wiedzieliśmy, czy przy nich siedzieć, czy stać, odzywać się, a może tylko milczeć i słuchać.

– Teraz pójdziecie tam, potem tam. Pobierzecie, uzyskacie, dostaniecie, przyniesiecie... – słowa zlewały się w jeden coraz mniej znośny huk.

– Zajoba można dostać – klęli po cichutku co odważniejsi z nas, ćmiąc przy tym w kibelku na piętrze „popularesy”, tym samym nic sobie nie robiąc z najważniejszego tutaj (ważniejszego chyba nawet od szpiegostwa na rzecz obcego mocarstwa) zakazu.

– Święta racja – zgadzali się ci, którzy w tym samym momencie tylko korzystali z pisuarów w jak najbardziej tradycyjny sposób.

Jedno było pewne: w tym dziwnym łańcuchu pokarmowym nie kto inny, a właśnie my i tylko my byliśmy na samym końcu. Na dnie. W każdej chwili gotowi na sflekowanie, opierdol, rozmowę indywidualną, zakaz opuszczania miejsca zakwaterowania, czyli w skrócie ZOMZ, konieczność przybrania pozycji zbliżonej do zasadniczej – i to bez głupiego uśmiechu, a następnie podania nazwiska do umieszczenia na czarnej liście, a taką każdy z oficerów (którzy pojawiali się coraz gęściej i za cholere nie wiadomo było, czym się zajmowali!) miał swoją.

A przecież jednocześnie to my, właśnie my, byliśmy tutaj najważniejsi. To wszystko było przecież zorganizowane dla nas.

– Zajoba można dostać.

– No to może po pall mallu?

– Mistrzunio. Dawaj!

– Prosto z „peku”.

– Tylko niech któryś patrzy, czy kto nie idzie...

*

A wszystko przez kolorowy, składany na trzy folderek, który wpadł w ręce, najpewniej przypadkiem, większości z nas w tej szczególnej chwili, gdy szkolne ławy w rodzimych podstawówkach zaczynały się robić zbyt ciasne, was się sypał, pedagogzy szkolni zadawali głupie pytania, serce wyrywało się gdzieś, nie wiadomo gdzie, a kolejna wiosna zbliżała się nieuchronnie.

MŁODY PRZYJACIELU! – zaczynał się ów informator, którego autor, sam będąc zapewne po siedmiu klasach podstawówki, agitował z wielkim sercem, choć już niekoniecznie zgodnie z obowiązującymi zasadami ortografii, interpunkcji i gramatyki języka ojczystego. Ale już

wizerunek wojskowego orzełka (jeszcze bez korony) na pelcie i flagi biało-czerwonej usprawiedliwiał wszelkie niedociągnięcia. – Kończąc szkołę podstawową zastanawiasz się zapewne nad wyborem dalszej drogi życiowej odpowiedniej do twoich zainteresowań i uzdolnień. Proponujemy Ci naukę w nowej szkole. Jest nią

LICEUM WOJSKOWE (nauka trwa 4 lata)

Poniżej podano dokładne adresy pięciu tego typu placówek, w tym, na końcu, również naszej. Na następnej stronie było zdjęcie przedstawiające kilku chłopciaków z rozdziawionymi gębami, pochylonych nad spadochronem składanym przez mężczyznę w mundurze. Pod fotografią parę słów dalszego wyjaśnienia, jakby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości i jeszcze nie pobięty rzytmem plecaka i żegnać się z matulą:

Liceum to realizuje pełny program średniej szkoły ogólnokształcącej z zastosowaniem elementów politechnizacji, komputeryzacji, cybernetyki i informatyki w procesie nauczania.

PRZYGOTOWUJE MŁODZIEŻ MĘSKĄ DO STUDIÓW W WYŻSZYM SZKOLNICTWIE WOJSKOWYM. O PRZYJĘCIE DO LICEUM MOGĄ SIĘ UBIEGAĆ KANDYDACI, KTÓRZY:

* posiadają obywatelstwo polskie;

To akurat nie budziło żadnych wątpliwości, a i wpływu przecież żaden z nas nie mógł mieć większego na miejsce, w którym się urodził. Nie pamiętam też, żeby komuś wywlekano zbyt mocno wujka, który uciekł z PRL-u na zgniły Zachód za chlebem, czy coś takiego. Co więcej, wkrótce okazało się, że jeden z nas ma w Chicago osobistą mamusię, która śle synusiowi zarobione w pocie czoła dolary, dzięki czemu ów przypomina ubiorem płatnego mordercę z Bronksu, pija tylko i wyłącznie coca-colę w puszkach, zakupioną w pobliskim Peweksie. Potem nawet udało się komuś z nas namówić go na zakup motocykla, ale to nie na długo zaspokoilo zew zdobywców i prowokatorów z tego samego pokoju. Ale już duży fiat, którego nabył za gotówkę na giełdzie samochodowej, wprowadził wszystkich w osłupienie, a potem w podziw. To nic, że nikt nie miał jeszcze prawa jazdy. Niestety, auto szybko skończyło żywot w jakimś rowie.

Inny z nas, rodem z Hajnówki czy Białowieży, przyznał się, że jest wyznania prawosławnego, dzięki czemu zawsze dwa razy wyjeżdżał na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Od razu znalazło się kilku, którzy chcieli zmienić wiarę...

* ukończyli 8 klas szkoły podstawowej;

Cóż, nie było łatwo...

* nie ukończyli 16. roku życia;

Ale nie było znowu tak źle!

Niektórzy z kolegów z podstawówek stukali się w czoło, no bo „kto normalny na trepa idzie?!”. Drudzy patrzyli ze skrywanym podziwem, inni z obojętnością. Dziewczęta zapewne próbowały sobie wyobrazić delikwenta w mundurze, a może i siebie obok niego, kto wie...

Prawda była jedna: przecieraliśmy szlak, którego nikt wcześniej nie przebył. Owszem, z pozostałych liceów wojskowych dochodziły jakieś strzępki doniesień, choćby takie, że szkoła leje się z całym miastem na noże i kastety, za sojuszników mając tylko jedno osiedle. Kilka razy mignęli koleżkowie w granatowych mundurach także w telewizyjnym show pod głupim tytułem: „Co dalej, ósma klaso?”. Ale obraz naszego liceum, które my mieliśmy rozpocząć – i to w każdym tego słowa znaczeniu – pozostawał wciąż mglisty.

Tak, to dobre! Przecieraliśmy sobie drogę. Miarowo, metodycznie, dzień za dniem: szmatami, metalowymi wiórkami do podłóg, pastą do butów. Tylko mundurowe portki w niektórych miejscach przecierały się może zbyt szybko...

* posiadają nienaganną opinię ze szkoły;

Chyba z westchnieniem ulgi niektórych z nas się pozbywali.

* posiadają odpowiednie zdolności fizyczne i psychiczne, stwierdzone przez Wojskową Komisję Lekarską;

Na pielgrzymkę po wojskowym szpitalu, a wcześniej dojazd doń, potem wyczekiwania pod gabinetami specjalistów, badania, a następnie wyrok z pisemnym uzasadnieniem trzeba było poświęcić cały boży dzień. To odbywało się jeszcze bardzo wczesną wiosną i należało zwagarować z podstawówki. Na szczęście legalnie. Na pierwszą w życiu wojskową komisję lekarską pojechałem z mamą.

– I po co do wojska idziesz? Opieprzać będą. Na co ci to?! – zapytał mnie z wrodzoną, a może wyuczoną subtelnością lekarz internista, a ja tylko wzruszyłem nagimi ramionami.

Następnie byli inni spece od ludzkiego ciała, a także umysłu. Chirurg co prawda pomylił mnie chyba z kandydatem do szkoły chorążych, bo kazał ściągnąć spodenki, wypiąć się, po czym nie odmówił sobie przyjemności przedziutkiego zajrzenia mi w dupę.

Kiedy to potem opowiadałem jednemu koledze, z którym stawaliśmy w tym samym momencie na komisji lekarskiej, bardzo się zdziwił. I przestraszył. Odpadł zresztą na końcu ze względu na trądzik

młodzieńczy, a może platfusa. Chyba się trochę podłamał, może nawet rozważał możliwość pobiegnięcia do chirurga i wyjaśnienia nieporozumienia, skorygowania tego niedopatrzenia. Szedłem wtedy o zakład, że przypadłości, które u biedaka wykryli, nie będą nikomu przeszkadzać, gdy po kilku latach armia będzie chciała zagospodarować delikwentowi kilkadziesiąt miesięcy życia. I to w trochę mniej sympatycznych okolicznościach.

* złożą potwierdzone przez ustawowego przedstawiciela (rodziców lub opiekunów) zobowiązanie do wstąpienia po ukończeniu liceum do jednej z wyższych szkół oficerskich;

Następnie w folderze informacyjnym następował gustowny szlaczek.

Wiedzieli, co robią! Armia ojczyzny robotników i chłopów, która zblamowała się podczas stanu wojennego, potrzebowała, najprościej mówiąc, młodej krwi. Jeszcze młodszej niż krew maturzystów idących do szkół oficerskich na złość dziewczynie, jeszcze młodszej też niż tych chłopaków po szkołach zawodowych, którzy nie chcąc jeszcze iść zapieprzać na tokarce czy frezarce, przekraczali próg szkół chorażych. Potrzebowali nas: piętnastolatków!

Bo co możesz, gówniarzu, wiedzieć wtedy o świecie? Gówno! A my ci ten świat pokażemy, powiemy, co jest dobre, a co be. Będziemy wabić, czym tylko można. Tylko podpisz cyrograf. Państwa też poprosimy, o tu. Najpierw mamusia, potem tatuś.

A wszystko przez kolorowy folder, który wpadł nam w ręce zamiast wydanego na kredowym papierze prospektu ze zdjęciami zachodnich samochodów albo pisemka dla dorosłych panów. Na kolejnym zdjęciu w folderze grupka roześmianych szczęśliwców zaglądała do wnętrza czołgu czy wozu opancerzonego, dalej zaś stało:

Uczniowie w czasie nauki otrzymują bezpłatnie:

- * zakwaterowanie w internacie;
- * ubiór szkolny (wyjściowy i codzienny);
- * wyżywienie;
- * wojskową pomoc medyczną;
- * podręczniki i inne materiały szkolne;
- * cztery razy w roku bezpłatny przejazd do miejsca stałego zamieszkania najbliższych członków rodziny.

W okresie ferii wakacyjnych po I, II i III roku nauki organizuje się bezpłatne, trzytygodniowe atrakcyjne obozy szkoleniowe, w ramach których można uzyskać m.in. kartę pływacką, patent żeglarza jachtowego oraz inne uprawnienia sportowo-obronne, a także poznać piękno swego kraju i jego chlubne tradycje. Uczniowie korzystają

również ze świątecznych ferii zimowych i wiosennych.

Kolejną stronę otwierał znów szlaczek, taki sam. A pod nim:

Kandydaci zdają egzamin wstępny z matematyki, języka polskiego oraz podlegają sprawdzianowi sprawności fizycznej.

Pomyślałby kto, że łapanka na ulicach. Albo branka. Jak kiedyś do carskiej armii? Akurat! To, że o jedno miejsce w dotychczas istniejących szkołach starało się nawet siedmiu chętnych, wiedzieliśmy dobrze. Marne szanse dawali nam nasi ulubieni nauczyciele z podstawówek. A jednak szliśmy w zaparte.

Egzaminy odbyły się w szkole chorążych, kilka ulic dalej (pewnie u nas nie zdążyli jeszcze wyskubać trawy i pobielić ścian, a może jeszcze zastanawiali się, czy w ogóle warto...). Nazjeżdżało się towarzystwa chyba z połowy Polski. Podzielono nas na grupy według nazwisk, oddano pod komendę odbywających wtedy służbę zasadniczą podchorążych, których nazywano popularnie „bażantami”, następnie pogrożono, że jak złapią kogoś na paleniu, to od razu do widzenia, i tym podobne. A dalej to już było po bożemu: język polski, matematyka, jakieś rozmowy, czyli zwyczajowe kompletowanie punktów egzaminacyjnych i wrzodów na żołądku.

Inaczej rzecz się miała z zapowiadającym egzaminem ze sprawności fizycznej. Wbrew czarnym prorocstwom znajomych z podwórka nie kazano nam nikogo pałować, pływać pod wodą ani podciągać się sto razy na drażku. Był za to bieg na tysiąc metrów, potem sprint na setkę i rzut piłką lekarską do tyłu. Trzeba było rzucić nią przynajmniej na odległość dziesięciu metrów.

Ta ostatnia konkurencja odbywała się w ogromnej sali gimnastycznej. Wpuścili nas na parkiet i pozwolili najpierw poćwiczyć. Jeden z kandydatów, który, sądząc z postury i przyciasnego kompletu sportowego, był akurat dobrze po okresie siewu, a jeszcze przed żniwami, złapał jedną z takich trzykilogramowych piłeczek i, jakby trzymał małą główkę kapusty, cisnął za siebie. Przez pół sali. Dobrze, że akurat nie było nikogo na linii strzału!

Wybryk ten zauważył jeden z egzaminujących nas oficerów w stopniu majora.

– Choć no tu, kochasiu! – zawołał wojskowy wuefista, otwierając swój tajemniczy zeszyt.

Kolega, z czerwoną twarzą i uszami po sobie, zestrachany zbliżył się do oficera.

– Tak? – bąknął pod nosem.

– Nazwisko.

Podał cichusieńko, modląc się w duchu, żeby tylko nie bili, i pewnie usiłując sobie przypomnieć rozkład autobusów PKS, z których jeden za chwilę powiezie go do domu.

– Zdałeś! – zawyrokował major, notując personalia miotacza.

My też. Jeden z dwóch i pół kandydata na jedno miejsce. Tego chcieliśmy. Właśnie tego?

*

– Kurwa mać! – zaklął któryś i splunął pod nogi. – Ile to jeszcze może trwać?!

– Jak po mięso kolejka, jak po kiełbasę.

– A masz może jeszcze kawałek z kolacji?

– Pytałeś pięć minut temu.

– Jeszcze chwila – zauważył blondas, ten nieduży. – Zresztą i tak już po dobranocce – dodał, spoglądając na zegarek.

Rzeczywiście, widać już było rozświetlone skąpo wewnątrz magazynu, a nawet czuć bijący stamtąd zapach stęchlizny, pomieszany ze smrodem dymu z podłego papierosa, którego przed chwilą zapalił magazynier. W końcu też człowiek. Im bliżej celu, tym bardziej go lubiliśmy.

Kolejka znów posunęła się do przodu. O jakieś dwie stopy. Dwaj kolejni szczęśliwcy, objuczeni świeżo wyfasowanymi sortami mundurowymi i tym razem z czarnymi, przypominającymi nieco te będące na wyposażeniu hitlerowskiego SA, czapkami zimowymi na głowach, wracali już do internatu.

– Ale obciach te zimowe czapki – ocenił ktoś skrzekliwym głosem.

– A te džinsowe komplety widzieliście? – zapytał muskularny. – Chłopaki mówią, że ponoć sztywne jak plastik.

– I jajka farbują – zaśmiał się czarniawy z językiem.

– Jajka to trzeba mieć! – odparował ktoś skryty w tłumie.

– A w kalendarzu wojskowym pisali: džinsowe komplety w najmodniejszym stylu – kpił dalej chłopak z dużym bicipsem. – Wiocha jakaś.

– Gównno się znasz – zripostował inny basem, coraz mniej jednak budzącym posłuch wśród kolejkowiczów.

– A chcesz w ryło?

– Ciszej tam, do cholery! – dobiegł znów schrypnięty głos magazyniera.

Tymczasem na dworze zrobiło się całkiem szaro. Płonęły już sodowe latarnie wzdłuż wąskich uliczek, po których maszerowało kiedyś ze śpiewem na ustach wojsko. Z okien sąsiadującej z naszą szkołą jednostki

inżynieryjno-budowlanej dochodził śmiech żołnierzy służby zasadniczej. Ciekawe, czy dworowali sobie z nas?

– A może zagramy w pokera? – zapytał jeden taki wysoki brunet, z wąsikami.

– Dawaj – zapalił się niewysoki blondyn, którego imienia, jak i zresztą imion pozostałych, jeszcze nie zdążyłem poznać.

– Kto jeszcze?

Przykucnęli we czterech, reszta zaś obstąpiła ich ciasnym kołem. Brunet dobył z zanadru talię sfatygowanych mocno kart i zaczął je z wprawą tasować. Blondas zaś wykonał prowizoryczny stoliczek z wyciągniętego skądś tobołka. Po chwili karty zaklaskały równo.

– No to cyk. To sru.

– Ciach babkę w piach.

– I chuj.

– Następny! – zawołał magazynier.

Przekroczyłem próg starego budynku z czerwonej cegły z sercem bijącym w gardle, krok za mną szedł Paweł, ten z bicipsem. Wszędzie wałały się plastikowe worki z jednakowymi ciuchami. Magazynier odłożył delikatnie dymiącego peta na brzeg popielniczki i ujął w zażółcone palce długopis, przy pomocy którego zaczął wypełniać rubryki w jakimś grubym skoroszybie.

– Nazwiska? – burknął.

Podaliśmy swoje.

– Paweł Grot – przedstawił się kolega masywny.

– Mundury galowe przymierzać – zakomenderował magazynier. – Ty, większy, z tej kupki, a ty spróbuj z tamtej.

Zaczęliśmy się biegusiem rozbierać, a następnie buszować w foliowych worach, próbując wyciągnąć z nich jakieś elementy garderoby.

– Marynarka dobra – odezwał się siłacz. – Ale spodnie mnie cisną w udach.

– No i co? – skrzywił się magazynier.

– Poproszę o większe.

– Przecież nie rozkompletuje! – zachnął się pan naszego czasu i spodni, ucinając temat raz na zawsze. – Numer buta?

– Dwadzieścia siedem – jęknąłem.

– Na pewno nie – zawyrokował magazynier, spojrzawszy krytycznie na moje stopy, po czym wskazał kolejną kupkę. – Tam są buty, wybierzcie sobie. Uwaga! Rozdaję bieliznę.

Moje spodnie na szczęście były dobre. Góra, czyli dwurzędowa, granatowa marynarka też. Teraz bielizna? Trzeba było nie lada sprytu,

żeby złapać rzucające na ślepo kalesony, skarpetki, spodenki gimnastyczne, koszulki i wszelkie inne dobra, jakie mieliśmy na grzbietach nosić z dumą i dozą wdzięcznością.

Pakowaliśmy wszystko do plastikowych worów bez ładu i składu: igły i nici mieszały się z butami. Po chwili tachaliśmy wypełnione wory w stronę internatu, zmęczeni, ale szczęśliwi. Nie zwracaliśmy uwagi na rozkołysaną, plującą na boki i coraz głośniejszą klnącą kolejkę.

W pokoju usiłowałem rozłożyć poszczególne sorty w szufladkach i na półkach, ale szybko minęła mi na to ochota. Ale jednego nie mogłem sobie odmówić: włożenia całego, włącznie z białą koszulą, krawatem, butami i czapką, munduru galowego. Uwinąłem się szybko, zapiąłem wszystkie guziki i stanąłem wyprostowany przed lustrem w pustej w tym momencie łazience.

– No to masz – powiedziałem niegłęboko sam do siebie.

– Zmuszał cię ktoś? – doszło z pomieszczenia, gdzie znajdowały się prysznic. Ale nie miałem odwagi sprawdzić, kto do mnie mówi.

*

Szkoła jak każda inna – to nam brzmiało uparcie w uszach, odstających naiwnie czy szpetnie, ale za to gotowych łowić najcichsze nawet słowa, słówka, dzięki którym da się tu przeżyć. Czyjś głos, a może swój, już nie wiadomo.

Nadszedł 1 września, dzień, w którym normalni ludzie zaczynali dopiero martwić się tym tworem złośliwym, jakim w życiu młodych w każdym chyba okresie historycznym była, jest i pewnie pozostanie szkoła.

Ile razy do czasu uroczystej inauguracji roku szkolnego staliśmy w czworoboku, a ile w innym szyku, nikt nie próbował zliczyć. Dość, że za każdym razem ustawić się równo było nam łatwiej. Raz, że, jak mówi stare przysłowie, trening czyni mistrza, dwa – po każdej zbiórce zostawał na asfaltowym boisku... czworobok z plwocin, bo ślina, która może z racji palenia tytoniu, a może z nerwów zbierała się w naszych ustach wyjątkowo obficie, nie nadażała wysychać.

– Baczość! Spoczniej! – kapitan Jan Karżyński, opiekun roku, którego z racji niewielkiego wzrostu i nazwiska nazwaliśmy z miejsca „Karakaniem”, już któryś dzień zdzierał sobie gardło. Przekształcić cywilbandę, która prawdziwej musztry zasmakowała jedynie na lekcjach przysposobienia obronnego albo w harcerstwie, w karną kompanię, nie było wcale rzeczą łatwą.

Wszystko jednak musiało wypaść na tip-top. Wszak na uroczystość były zaproszone najwyższe władze wojskowe garnizonu i okręgu oraz partyjne miasta, a nawet województwa. Do Rosjan modlono się o dobrą pogodę.

Żeby wszystko wyglądało, jak należy, umyliśmy się dokładnie, ogoliliśmy, choć mało który już musiał. Mogliśmy również skorzystać z darmowych usług fryzjera, a raczej fryzjerki, której gabinet ulokowano w jednym z budynków szkolnych. Wybraliśmy się we trzech. Usiadłem jako pierwszy na fryzjerskim fotelu.

– Jak strzyc? – zapytała znudzonym głosem.

– Po męsku – zdecydowałem, a jakże, po męsku.

Objechała mnie jak się patrzy maszynką terkoczącą jak karabin maszynowy. Na języka. Jak zmieniać życie, to całe. Moi kamraci patrzyli z przerażeniem.

– Z szyi zebrać? – zapytała uprzejmie mistrzyni nożyc i grzebienia.

– Poproszę.

– A masz może maszynkę? Taką na żyletki?

No tak. A niektórzy, jak Tadek Piskor, wybrali się w jednej parze skarpetek...

Po tygodniu gabinet stał pusty, a po konsultacjach z nami pani podziękowano za współpracę.

– W prawo zwrot! W lewo zwrot! – komenderował nasz opiekun roku, a my mieliśmy niezłą zabawę. Nie znaczyło to wcale, że bawił się też Karzyński. – Nie śmiać się tam. Wystąp! Wstąp!

Nic też nie zostało mu już po dźwięcznym tenorze. Tylko ten odrobinę wieśniaczy akcent.

Rozwijała się też internatowa moda, a zadawać szyku to my, co jak co, ale lubiliśmy. I to od samego początku. Do szczytów elegancji należały zatem trampki, spodnie od dresu, waziotkie, koloru granatowego, koszulka barwy stalowej, będąca dotychczas na wyposażeniu każdego marynarza. Całości dopełniała dżinsowa bluza od munduru codziennego – koniecznie z podniesionym kołnierzem, spod którego błyskała biała metka, na której nie zdążyliśmy jeszcze wykaligrafować naszych inicjałów.

Za ów postawiony kołnierz ścigano nas zresztą bez skrępowań, ale cóż, prawdziwa moda od zarania dziejów nie miała łatwego życia i nie od razu zyskiwała zrozumienie wśród współczesnych. Musiała przejść swoje. Tak jak my.

Lubiliśmy też chodzić w skóropodobnych laczkach z dziureczkami. Na świecie wciąż jeszcze trwało lato, więc tym bardziej było to obuwie

właściwe. Szczególnie gdy w grę wchodziło jedynie wyjście na stołówkę i z powrotem. Ale to z kolei bardzo nie podobało się naszemu samemu głównemu dyrektorowi, podpułkownikowi z rudym wąsikiem. Gdy złapał takiego, co się zbyt domowo poczuł, mówił skrzeczącym głosem:

– Kapcie w zęby i w tył na lewo!

Oznaczało to, że mamy na bosaka biec do internatu i wzuć inne buty.

1 września wbiliśmy się zatem w galowe garniaki i białe koszule, wypucowaliśmy pantofle, dopasowaliśmy przed lustrem rogatywki, choć żeby było do końca pięknie, tu i ówdzie musiały się również zawiązać... spółdzielnie wiązania krawatów. Na klamce, na szyi, lustrzanie i w ciemno, na raz i na dwa – szkół było wiele. Ale efekt jeden. Wyglądaliśmy jak grupa wystraszonych licealistów prymusów z początku lat sześćdziesiątych na audyencji u pana wojewody.

– Szkoda, że nas matki nie widzą – pociągnął któryś smętnie nosem.

– Moja będzie – pochwalił się Maciek Czuma, chłopak nadpobudliwy nieco i z blizną na policzku, którego pamiętałem jeszcze z egzaminów.

– No tak, nie każdy mieszka dwie ulice dalej.

– Za to wszyscy muszą w internacie.

I było wyjaśnione, kto ma lepiej. Wszyscy mieliśmy jednakowo przekichane. Ci z miasta, bo nagle nie mogli tak sobie po prostu wstać i wyjść. Ci z daleka – bo byli z daleka...

No to sobie tak staliśmy odziani w garniturki jak spod sztancy, które wcześniej pomagały nam prasować miłe panie, bo i takie się znalazły. Na szczęście, a może wręcz przeciwnie, były tylko miłe: z administracji szkoły, a także internatu.

Bo na czele poszczególnych klas nie stali wcale sadystyczni kaprale, jak podawało ponoć Radio Wolna Europa, tylko cywile – kilku wychowawców. Mężczyźni, ale i również kobiety. W przypadku naszej klasy była to wcale ładna i wcale świeża absolwentka wyższych studiów w miejscowej uczelni pedagogicznej.

– Jestem magistrem pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej – poinformowała nas na wstępie miłej współpracy swoim kryształowym głosem. – Możecie się do mnie zwracać „pani Ulu”.

Odetchnęliśmy z ulgą. Więc nie jest tak źle, jak by się mogło wydawać. Może tylko ktoś zastanawiał się po cichu, czy sympatyczna pani Ula bardziej nas będzie wychowywać czy może jednak opiekować się zbłąkanymi duszyczkami.

– A jak sobie ze mną będziecie lecieć, to i ja sobie z wami polecę – zakończyła młodzieżowym slangiem spod wiejskiej dyskoteki, do tego zrobiła obrażoną minę, a my nie wiedzieliśmy już, czy płakać, czy głośno

płakać.

Głośno chyba nie wypadało. W końcu mieliśmy być złotą młodzieżą sił zbrojnych. Komunistycznych – dodałoby pewnie cytowane już radio, które póki co pracowicie zagłuszano. Ze strzępków usłyszanych w eterze zdań dochodziły do nas rewelacje, że ponoć nie mamy w internacie normalnych schodów, tylko wspinamy się na piętra po linach. Że na przykład drut kolczasty nad ogrodzeniem jest pod wysokim napięciem albo że gdy hałastra współczesnych janczarów wychodzi do miasta, to miejscowa ludność masowo zatrzaskuje przed nią okiennice domów i chowa dzieci, a już na pewno dziewczyny. A jak już mamy wrócić do siebie, najpewniej pijani i z krwią na rękach, to zamiast emeryta w przepoconej, śmierdzącej portierni wita nas gniazdo karabinów maszynowych.

Był zatem 1 września, a my wystawaliśmy dzielnie swoje. W zwartym dwuszeregu, wzdłuż linii boiska do siatkówki. Wciągnięto flagę biało-czerwoną na maszt, orkiestra wojskowa zagrała „Mazurka Dąbrowskiego”, a może nawet i „Rotę”, która tym bardziej pasowała do dekoracji byłych pruskich koszar, w których mieliśmy spędzić kilka następnych lat życia. Letnie jeszcze słońeczko przygrzewało przyjemnie, miękły nam odrobinę plastikowe daszki galowych czapek i nogi przy okazji.

Zaproszeni oficjele, stłoczeni na trybunie honorowej z metalowym orłem, przemówili ludzkim głosem, my na to krzyknęliśmy ile sił w gardłach i kilka razy: czołem! Nieco z boku ustawił się barwny tłumek – byli to nauczyciele, wychowawcy, pracownicy administracji, rodzice i zaproszeni goście. To było naprawdę wzruszające. Wszyscy razem i każdy z osobna czuliśmy smak tej szczególnej chwili w życiu...

– Nie wiecie, co dziś będzie na obiad? – zapytał ktoś z pierwszego szeregu.

– Chyba schabowy, ale nie wiem na pewno.

– Rzeczywiście, coś mi tak pachnie schaboszczakiem od rana.

– Myślicie, że puszczą nas potem do miasta?

Odpowiedź na to pytanie jednak nie padła. Chyba ze wzruszenia wszystkim głos znów odebrało, bo właśnie przemawiał dyrektor. Że wita wszystkich serdecznie, że będzie dobrze, że ma nadzieję i liczy na współpracę, ale jak kogoś na paleniu złapie, to...

A mnie w pewnym momencie urwał się guzik od marynarki. Pech. Po chwili trzasnął drugi. Nie trzeba było długo czekać, a poleciał ostatni; w ostatniej chwili udało mi się go pochwycić.

– Co ja mam teraz zrobić? – nie wiedzieć czemu, zacząłem naprawdę

panikować; stałem przecież w drugim szeregu, więc nie rzucałem się za bardzo w oczy.

– Masz zapalki – szepnął ktoś za mną.

Czyjaś ręka podała mi sfatygowane pudełko, z którego wyłuskałem trzy sztuki i drżącymi rękami połączyłem je z uszkiem każdego guzika, a przy okazji z mundurem. Zupełna prowizorka.

I tak już miało być do końca.

– Niech wy, chłopcy, i wasi... nauczycielowie, prawda, pracują w tych murach, proszę ja was, wspólnie dla dobra, wicie-rozumicie, dla wspólnego dobra naszej socjalistycznej ojczyzny, Polski Ludowej – zakończył wykrzykiwać do podstawionego pod nos mikrofonu towarzysz pierwszy sekretarz komitetu wojewódzkiego.

– Amen! – dokończył któryś z nas piskliwym głosikiem, czemu ktoś inny zawtórował głośnym bąkiem.

Zachichotaliśmy. Karzyński, który mógł wszystko słyszeć, pociągnął długim, zakrzywionym nosem niczym czujny wyżeł. Próbował odwrócić głowę w naszą stronę, ale musiał w tym momencie salutować długo, więc tylko zezował.

Wreszcie uroczystość dobiegła końca. Bez kwiatów, wszak to dopiero początek zabawy, a nie koniec, bez defilady, bo maszerować jeszcze za bardzo nie umieliśmy, a i o sztandarze jeszcze jakoś nikt nie pomyślał. Może za rok, kiedy kobiety, jak za starych czasów, wyszyją go w tajemnicy. Albo miejscowe społeczeństwo zrobi zbiórkę.

Póki co jednak trzeba było społeczeństwo oswoić z faktem, że oprócz aresztu śledczego, policyjnej izby dziecka i kilku domów poprawczych ma w mieście również i coś takiego. Nie wszyscy wszak byli wiernymi słuchaczami Wolnej Europy...

From the same author on Feedbacks

Bumerang (fragmenty) (2009)

Krzysztof Beśka w "Bumerangu" mierzy się z mitem korporacyjnego raję. Sam zatrudniony w międzynarodowej firmie, z charakterystyczną dla siebie przewrotnością i ironią, przestrzega przed uczestnictwem w "wyścigu szczurów".

Mocną stroną książki, wyróżniającą ją z modnego nurtu literatury antykorporacyjnej, jest odwaga w punktowaniu bolączek współczesnej cywilizacji oraz język. Beśka nie boi się neologizmów, hiperbol i metafor. Dzięki nim oddaje skomplikowaną mentalność ludzi aspirujących do atrakcyjnej w ich mniemaniu roli Yuppies, młodych rekinów korporacyjnego mikroświata. Szybko jednak okazuje się, że są specyficznymi tworamii graniczącymi ze sobą rzeczywistości, postpegeerowskiej i nowobogackiej, generujących zarazem ambicję, jak i kompleksy, potrzebę sukcesu oraz płytkiej, konsumpcyjnej satysfakcji.



www.feedbooks.com
Food for the mind